

DZIS I JUŻ

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI.

Warszawa, 27 marca 1955 r.

Nr 12 (486)

WACŁAW AULEYTNER

ŻYCIE CZYNNE A KONTEMPLACJA

POJĘCIE kontemplacji Boga jest wśród katolików otaczane wielką czcią, niestety jednak w społeczeństwie chrześcijańskim mało jest pogłębiona intelektualnie jego właściwa treść. Tymczasem istota tego pojęcia jest bardzo wyraźnie sprecyzowana w teologii katolickiej. Bolesław Piasecki pisząc swą przedmowę do „Zagadnień istotnych” użył właśnie tego terminu w ujęciu teologicznym, pokazując przy tym w swej pracy tylko niektóre spactenia, jak im ulega stosunek współczesnych chrześcijan do zagadnienia kontemplacji, a nie dokonując wykładu teologii w tym zakresie. Wydaje się jednak, w związku z wieloznacznym pojmowaniem przez wielu katolików zagadnienia kontemplacji i modlitwy kontemplacyjnej, że konieczne jest omówienie istoty modlitwy kontemplacyjnej i jej stosunku do życia czynnego. Ta właśnie sprawa właściwej proporcji między życiem wewnętrznym, kontemplacyjnym a życiem czynnym, i sprawa znieszczenia życia wewnętrznego, zachodzących w praktyce u wielu katolików, jest między innymi tematem krótkich i syntetycznych rozważań Piaseckiego.

Pisze on, że każdy z tych chrześcijan, którzy chcą zachować neutralność wobec alternatywy rozwoju czy upadku społecznego, intelektualnego, moralnego i estetycznego świata, umieszcza fikcyjnie swe możliwości przekształcenia zastanej rzeczywistości poza planami Stwórcy. Gdyby taki neutralny chrześcijanin zadał sobie trud analizy własnej postawy, musiałby dojść do fantastycznego wniosku, że Bóg niepotrzebnie stworzył albo jego, albo świat.

By w pełni i jasno zrozumieć tezy Piaseckiego zawarte w tym cytacie, warto sięgnąć do książki O. Jacka Woronieckiego „Pełnia modlitwy”. Piasecki mówi o tych katolikach, którzy w swym stosunku do rzeczywistości zatracili pełnię możliwości wielbienia Boga, gdyż zagubili właściwą ocenę wszystkiego co stworzone, które przecież tak jak i jednostka ludzka jest tworem Bożym. Nie wykorzystują więc możliwości doskonałości świata i siebie poprzez życie czynne i twórcze, nie wykorzystują w pełni możliwości oddawania czci Bogu swoim życiem i pracą.

Na czym polega jednak, w teologicznym ujęciu zagadnienia, właściwa postawa chrześcijanina wobec Boga i Jego stworzenia? Otóż O. Woroniecki pisze, że polega ona na miłości Boga i stworzenia. Bez tej miłości człowiek jest, jak mówi Paweł Apostoł, „jako cymbał brzmiający i jako miedz brzająca”. O doskonałości więc człowieka i doskonałości działania człowieka decyduje ustosunkowanie się do Boga i do Jego woli. Miłość bowiem nie jest tylko stanem napięcia władz uczuciowych, ale stanem napięcia woli człowieka, która winna działać zgodnie z wolą Boga, realizować plany Opatrzności.

Miłość ta przybiera w życiu doczesnym człowieka dwie podstawowe formy. Jest to miłość aktualna, czyli świadoma, i miłość habitualna, czyli nieświadoma, jak O. Woroniecki mówi — „ukryta”. Pierwszą z nich mamy wtedy, kiedy człowiek świadomymi aktami rozumu i woli zwraca się do Boga i wyraża Mu to wszystko, co Mu jest winien: cześć, chwałę, dziękczynienie, przeproszenie, prośby itd. Jest to więc modlitwa, modlitwa kontemplacyjna. Nie znaczy to oczywiście, by modlitwa usna, która często jest mało uświadomiona, nie miała wartości ze względu intencjonalnych, nabiera zaś cech kontemplacji, w miarę narastania uświadomienia sobie miłości aktualnej, która jednak zawsze w niej tkwi.

Drugą natomiast mamy wtedy, gdy człowiek nie myśli o Bogu, ale spełnia to, czego Bóg w danej chwili od niego żąda. Wiemy — pisze dalej O. Woroniecki — że sumienna praca wymaga, aby się jej całkowicie oddać, tak, iż na jednoczesne wracanie się myślą do Boga nie ma nierzadko już możliwości. Postawa więc wobec Stwórcy chrześcijanina zdążającego do doskonałości wyraża się w dwóch formach: w formie modlitwy kontemplacyjnej i w formie dobrego wypełniania obowiązków, tj. w formie dobrego życia. Jeśli jeden lub drugi z tych czynników nie domaga, to się odbija na pełni harmonijnego rozwoju chrześcijanina. Zapewne, że wzięta w oderwaniu modlitwa (kontemplacyjna) — pisze dalej O. Jacek — przedstawia wyższą formę miłości Bożej... a jednak w życiu doczesnym byłoby bardzo niebezpieczne zbyt wyłączenie na nią przesunąć punkt ciężkości... Pełnieniem zaś woli Bożej jest nie tylko modlitwa kontemplacyjna, czy w ogóle modlitwa, ale przede wszystkim życie czynne polegające na służbie Bogu poprzez służbę bliźniemu, poprzez pracę wśród stworzenia na ziemi, wykonywaną ziemskimi środkami. Myśl zawsze o sobie jako o słudze każdego człowieka — napomina swe siostry zakonne wielka mistyczka chrześcijańska, św. Teresa od Jezusa — szukaj Pana naszego, Chrystusa, w każdym człowieku.

Stąd np. — pisze O. Woroniecki — wobec konfliktów między uczestnikiem miłości bliźniego a modlitwą, ta ostatnia winna zawsze ustąpić, dla tej prostej racji, że z uczynku miłości bliźniego np. nakarmienia głodnego można aktem miłości uczynić coś równoważnego z modlitwą, samą zaś modlitwą nakarmić głodnego nie ma sposobu. Jeśli Piasecki mówi tu o neutralności, to ma, sądzę, na myśli właśnie to znieszczenie proporcji między modlitwą a życiem czynnym, polegające na odsuwaniu się od pełnienia uczynku miłości wobec stworzenia w imię fałszywie pojętej miłości Boga. Wtedy natomiast następuje umieszczenie działania i życia człowieka „poza planami Stwórcy”. Jak to pisze autor „Zagadnień istotnych”. Nawet wtedy bowiem, gdy chrześcijanin dzięki przesłankom intelektualnym pesymistycznie ocenia dorołek cywilizacji, to ta ocena nie zwalnia go od obowiązku realizowania miłości bliźniego dla miłości Boga. Inaczej byłaby to postawa zupełnie przeciwna tej, jaką reprezentowali święci Kościoła, wielcy mistycy chrześcijańscy, którzy przecież winni być dla nas wzorem. Wystarczy tu przytoczyć maksymę napisaną przez św. Teresę Wielką dla podległych jej zakonnic: *podziwiał Opatrzność i mądrość Boga we wszystkich stworzeniach i chwał Go w nich wszystkich.*

Ta właściwa lub niewłaściwa proporcja między modlitwą a życiem czynnym musi się siłą rzeczy odbijać na osobistej doskonałości człowieka, gdyż mijanie się z planami Bożymi — to mijanie się z prawdą to pewna forma faryzeizmu w stosunku katolika do rzeczywistości. Postawa taka tym bardziej odkształca osobowość, że, jak twierdzi O. Woroniecki, „osobista doskonałość poszczególnej duszy zależy dużo bardziej od jej miłości habitualnej, to jest od życia... Nie ten jest doskonały, kto dłużej i więcej się modli, ale ten, czyja modlitwa silniej oddziaływała na życie i na całą działalność... stąd można śmiało powiedzieć, że miarą indywidualną doskonałości duszy chrześcijańskiej jest właściwe wydziedziczenie w swoim życiu miłości aktualnej i habitualnej,

harmonijne ich zespolenie ze sobą i przeniknięcie się nawzajem.

Przychodzi w tym miejscu na myśl starochrześcijańskie podanie o pewnym pustelniku, który uciekł od ludzi chroniąc się w pieczarze na pustkowiu, by zostać sam na sam z Bogiem. „Bóg i ja, ja i Bóg” — oto było jego hasło. Ludzie przeszkadzali mu w tym bezpośrednim kontakcie z Bogiem, więc rzucił majątek i dom, by oddać się surowemu życiu i ostrym umartwieniom rozmawiać z Bogiem. Ale i na pustkowiu nie mógł ów anachoreta pozostać sam na sam z Bogiem. Niepokoiły go bowiem i mierzliwy promień słońca i szum drzew, i ptaki śpiewające w ich gałęziach, i plusk wody w strumieniu, i lania ciekawie zagładająca do groty — całe to „nieczyste” stworzenie dzieliło go od Boga, więc nienawidził je z całej duszy sądząc, że on tylko Boga jest godny. I pewnej nocy poczuł, że nie jest w pieczarze sam, gdyż przybył do niego szatan, by zebrać swe żniwo z wyrosłej tu nienawidźci. Pustelnik w prerażeniu wybiegł z pieczary i rozbiwszy sobie głowę o pobliskie głązy, zemzlał. Obudził go piękny ranek wiosenny, lecz pierwszym stworzeniem, które zauważył, nie był szatan, ale lania, która przyladała mu się ze współczuciem. Wtedy pustelnik zapłakał i objął za szyję lanie, która dawniej nienawistna, teraz stała mu się wybaczeniem. I coraz to szerzej obejmując swą miłością stworzenie Boże, wielomilowymi krokami zbliżał się ku Stwórcy.

Ta krótka legenda ilustruje tę właśnie formę degeneracyjną kontemplacji, którą piętują Piasecki. Myśl tę autor „Zagadnień istotnych” rozwija jeszcze w paru zdaniach, które też w świetle powyższych rozważań wymagają szerszego omówienia. Są też chrześcijaństwo — pisze Piasecki — którzy we współczesnym świecie wielkich konfliktów społecznych dochodzą do przekonania, że Bóg wybrał ich do wielbienia Go wyłącznie drogą kontemplacji mistycznej. Tylko według doktryny jest darem łaski, a nie wynikiem wysiłków człowieka, które winny być stale skierowane na wykonanie pełni jego zadań.

Forma schorzenia postawy katolika, ukazana tu tak paradoksalnie przez Piaseckiego, należy do jednych z najbardziej niebezpiecznych, a wynikających ze zburzenia harmonii między życiem wewnętrznym i działaniem, między realizacją miłości aktualnej i habitualnej. Polega ona na zbyt wyłączeniu, jak twierdzi O. Woroniecki, wysuwaniu na plan pierwszy modlitwy z lekceważeniem obowiązków życia chrześcijańskiego i szczególnie z pominięciem wpływu, jaki modlitwa powinna na to życie wywierać. Bóg wzywa człowieka do kontemplacji pociągającego powołania. Najwyższym zaś celem kontemplacji jest chwała Boża wyrażona w ramach miłości habitualnej, a nie jej skutki doczesne. Temu celowi przede wszystkim służy całe życie mistyka, ale realizacja tej kontemplacji nie może zaistnieć bez realizacji miłości habitualnej w konkretnych doczesnych warunkach. W innym wypadku powstaje wtedy między modlitwą a życiem rozdźwięk wpływający fatalnie na jedno i drugie. Zanimuje się wtedy dla modlitwy, a czasem właśnie dla fikcyj-

nego powołania najistotniejsze obowiązków chrześcijańskich, a z modlitwy tej nic się nie otrzymuje. Ludzie ci uciekają od życia nie dla prawdziwego powołania, lecz z chęrczstwa przed wysiłkiem, pracą, ofiarami i walką ze złem.

W tych warunkach — pisze O. Woroniecki — modlitwa przestaje być pełnieniem woli Bożej, a staje się poszukiwaniem własnego zadowolenia w marzycielstwie i lenistwie ducha. Wielką krzywdą, wyrządzoną przez (tę) bigoterię pobożności chrześcijańskiej, jest ten dyskredek, jaki rzuca na wszelką nawet najpotłodniejszą modlitwę, te uprzedzenia, jakie w stosunku do pobożności wśród ludzi świeckich szerzy. Ciepko odpowie ona kiedyś na sądzie Bożym za tę pychę, egoizm i faryzeizm, które na dniu jej leżą.

Św. Teresa z Avila tak pisze na ten temat do swych sióstr zakonnych: *lecz kontemplacja, córki, jest inną sprawą. Wszyscy popełniamy ten błąd: jeśli ktoś dochodzi do tego, że codziennie spędza krótki czas na rozmyślaniu o swoich winach, co obowiązany jest czynić, jeśli nie jest chrześcijaninem tylko z imienia, ludzie nazywają go wielkim mistykiem, i następnie spodziewają się, że będzie posiadał w rzadkie cnoty, które winien posiadać człowiek uprawiający kontemplację; — on sam może myśleć, że je posiada, ale będzie w błędzie. W początkowych stadiach nie umiał on nawet ustawiać figur na szachownicy i myślał, że na to, by dać matę, wystarczy odróżnić figury. Jest to jednak niemożliwe, bo Król pozwala tylko zdobyć się tym, którzy Mu się całkowicie poddali. W tym świetle jasne jest chyba, o kim pisze Piasecki w przytoczonym wyżej cytacie i jaką postawę poddaje krytyce.*

I tu jeszcze raz wrócić trzeba do tego prawa wyżej omawianego, polegającego na zachowaniu przez katolika koniecznej proporcji i harmonii między życiem wewnętrznym a życiem czynnym, między modlitwą a pełnieniem obowiązku. Stosunek ten nie jest ten sam dla wszystkich, przeciwnie, zdaniem teologów, jest on czymś indywidualnym i każdy musi go sobie sam wymierzyć. Tyczy się to, zdaniem O. Woronieckiego, nawet życia zakonnego, w którym modlitwa kontemplacyjna dużo więcej miejsca zajmuje niż w świecie, jest on bardzo rozmaity w zależności od różnych celów i właściwości zakonu. Zupełnie inaczej układa się on u kartuzów i karmelitan, inaczej u dominikanów i niepokalanek, inaczej wreszcie u szarytek lub albertynow. Lecz występuje on wszędzie, bo nie podobna oddzielić modlitwy od działania, które jest podstawowym elementem doskonałości człowieka i świata. Dlatego słusznie powiedział Bolesław Piasecki, że jeśli ktoś chce uprawiać kontemplację nie w celu skuteczniejszego działania, lecz w celu osiągnięcia samej ekstazy, błądzi, gdyż modlitwa kontemplacyjna jest ściśle związana z działaniem człowieka, i im bardziej je przepelnia, tym ono staje się doskonalsze. Chrześcijanin niezależnie od tego, czy jest świeckim, czy duchownym, modli się, by jego życie było lepsze, by Bóg pozwolił mu zbliżyć się do siebie, lecz elementem decydującym jest to samo życie, prowadzone zgodnie z wolą Bożą i działaniem polegającym na wypełnianiu tej woli. Ekstaza zaś nie jest celem kontemplacji, gdyż jest łaską spływającą na wybranych jako dar niezasłużony, jako niewspółmierna nagroda za wysiłek harmonijnej realizacji w życiu miłości aktualnej i habitualnej.

Spójrzmy uważnie na życiorysy wielkich świętych: św. Jana od

JERZY WOJCIECHOWSKI

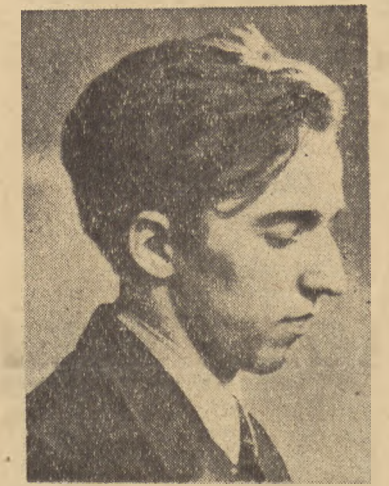
REFLEKSJE POKONKURSOWE

DOBIEGA końca V Międzynarodowy Konkurs im. Fryderyka Chopina — największa impreza artystyczna, jaka odbyła się w Polsce na przestrzeni Dziesięciolecia i bodajże jedna z największych imprez tego rodzaju w Europie. Przez miesiąc prawie tysiące, jeżeli nie miliony ludzi, skupiały się co wieczór przy radiodiodniach, by słuchać transmisji kolejnych przesłuchań Konkursu.

Nigdy jeszcze chyba żadna impreza muzyczna nie wzbudziła tak szerokiego zainteresowania — nawet wśród ludzi zupełnie niezwiązanych z muzyką. Zainteresowanie to sięgnęło daleko poza granice naszego kraju. Po raz pierwszy uczestniczyła w Konkursie Chopinowskim tak wielka liczba młodych pianistów z krajów pozaeuropejskich — Chin, Japonii, Kanady, Chile, Ekwadoru czy Cejlonu. Wielka sztuka Chopina zbliżyła i zjednoczyła we wspólnym dążeniu do najwyższych wyników młodych artystów różnych naro-



Adam Harasiewicz — I nagroda

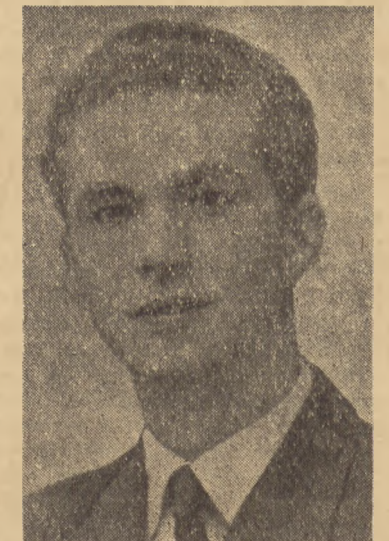


Włodzimierz Askenazy — II nagroda

dość, żyjących w różnych ustrójach społecznych. I właśnie to zbliżenie i zawarta podczas trwania Konkursu przyjaźń stanowi — obok bardzo wysokiego poziomu artystycznego — o wielkim międzynarodowym znaczeniu Konkursu Chopinowskiego. Fakt, iż Mazurki Chopina najpiękniej grał Chińczyk Fu-Tsung, świadczy wyraźnie, że dla muzyki wielkiego polskiego kompozytora nie istnieją żadne granice rasowe czy narodowościowe.

Jurorzy Konkursu oraz obserwatorzy wielu pism zgodni wyrażają pogląd, iż Konkurs Chopinowski jest jedną z najpoważniejszych imprez tego rodzaju w Europie. O poziomie jego już z góry przesądzał fakt, że więcej niż jedna trzecia uczestników, to laureaci różnych zagranicznych konkursów pianistycznych. Wyjątkowy był również i skład Jury Konkursu. Zaden niemal spośród muzycznych konkursów organizowanych w Europie i na całym świecie nie zgromadził w swej komisji sędziowskiej tylu i tak znakomych artystów i pedagogów: Michelangieli, Tagliaferro, Zak, Kentner, Lévy, Oborn, Askemase — trudno wyliczyć wszystkie sławne nazwiska w dziedzinie świątowej pianistyki i pedagogiki fortepianowej.

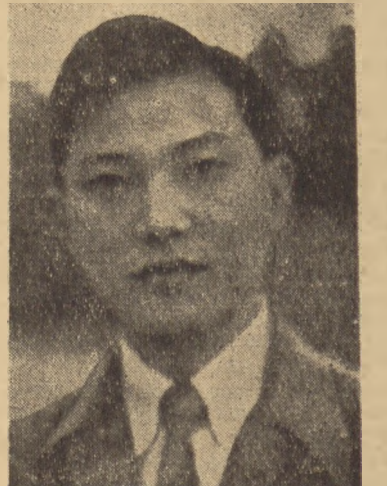
Powiedział ktoś, że Konkurs Chopinowski, to wielka muzyczna dyskusja nad właściwym stylem interpretacji dzieł Chopina. Ujęcie takie wydaje się bardzo trafne. W grze poszczególnych uczestników zarysowały się wy-



Bernard Ringelissen — IV nagroda

rażnie określone style i kierunki świadczące o tym, że każdy z nich inaczej podchodzi do dzieł Chopina i innych wartości sztuki w jego muzyce. Trudne zadanie mieli do spełnienia jurorzy Chopinowskiego Konkursu. Pierwsza selekcja była jeszcze stosunkowo prosta — polegała zasadniczo na wyeliminowaniu tych kandydatów, u których zauważyć się dały wyraźne braki w samym rzemiośle pianistycznym, lub którzy dali wyraźne dowody niezrozumienia ducha chopinowskiej muzyki. Nie trudno jest słuchając jakiejś dyskusji zauważyć, kto z mówców się jaka, względnie nie umie należycie dobrać wyrazów. Ale gdy już pozostał tylko ci, którzy nie mają żadnych wad w wymowie i umieją pięknie się wystawiać, wtedy bezstronny sędzia musi stwierdzić, kto ma rację — i to jest, rzecz jasna, najtrudniejsze.

W Konkursie Chopinowskim zarysowały się, z grubszą białką, cztery zasadnicze kierunki interpretacyjne niezależne bynajmniej, a przynajmniej w minimalnym stopniu, od narodowości pianisty. Pierwszy z nich można określić jako romantyczny z tym jednak, że pod romantyzmem rozumiemy tu wydobycie z muzyki Chopina przede wszystkim momentów lirycznych, nastrojo-



Fu-Tsung — III nagroda

wych, nawet z pełną (u niektórych uczestników) skłonnością do sentymentalizmu. Kierunek ten reprezentuje m. in. Monique Duphil, Nina Lelezuk i Milosz Magin. Kierunek drugi również trzeba nazwać romantycznym, lecz będzie to inny romantyzm, ten z okresu „burzy i naporu”, gdzie na plan pierwszy wysuwa się element dramatyczny. Na tej linii znajdują się — obok innych — dwie całkowicie zresztą odmiennie indywidualności pianistyczne, a mianowicie Chińczyk Fu-Tsung i Węgier Peter Frankl.

Kierunek trzeci odznacza się pewnym obiektywizmem w podejściu do muzyki Chopina, dążąc za to do maksymalnej wierności chopinowskiemu tekstowi — przede wszystkim temu zapisanemu realnie, nie zaś temu pomiędzy wierszami — oraz do zwartości muzycznej konstrukcji. W tym kierunku, jak się zdaje, idzie gra E. v. Behar, Lidii Grychtolówny, Stanisława Knora, Edwina Kowalika, Iriny Sijalowej, częściowo także Dmitrija Papiero. Czwartym wreszcie kierunek określić można mianem wirtuozowskiego. Reprezentują go przede wszystkim Adam Harasie-

(Dokończenie na str. 6)

DM191072

WODNYM SZLAKIEM

TAM, gdzie dzisiaj jest warszawska przystań „Vistula”, w pobliżu mostu Śląsko-Dąbrowskiego, przed wojną, w czasie jesiennych miesięcy, kowały się na wodzie wielkie galary, pełne najrozmaitszych gatunków pachnących jabłek. Wśród licznie pieszających na wybrzeże warszawskich gospodyń nieraz zaplałami się i ja, wyrostek w gimnazjalnym mundurze. Pechała mnie tam nie tylko atrakcyjność zakupu z galarów, ale również niska cena owoców.

Były one bowiem o wiele tańsze od sprzedawanych w mieście. Oczywiście, nie zastanawiałem się wtedy — dlaczego? Nie zajmowała mnie wówczas kwestia ekonomiki transportu. Trudno się zresztą dziwić. Dziwić się można natomiast, że ludzie, którym sprawa ta z urzędu winna wówczas leżeć na sercu, poświęcają jej równie mało uwagi. — Przed wojną transport wody w szerszym, ogólnogospodarczym znaczeniu właściwie w Polsce nie istniał. Nie rozróżniając analizowanej już setki razy polityki gospodarczej zaborców, w stosunku do naszego kraju, uwzględnić trzeba fakt, że w okresie międzywojennym w dziedzinie rozwoju dróg wodnych znajdowaliśmy się w Europie na zupełnie szarym końcu. Wynikało to zresztą z całokształtu naszej ówczesnej gospodarki. Kapitałiści, w większości przedstawiciele zagranicznych spółek, unikali inwestycji, nie przynoszących natychmiastowych zysków. Włączenie zaś sieci dróg wodnych w system komunikacyjny państwa bez takich inwestycji, jak regulacja rzek, pogłębienie ich, połączenie poszczególnych zbiorników wodnych kanałami, czy budowa

portów rzecznych — było niemożliwe. Przejżdżając codziennie tramwajem przez most Poniatowskiego widzę jakże romantyczne rozlewkę Wisły, która w centrum europejskiej stolicy płynie wyłącznie według woli swych kapryśnych rozlewających się fal. Ogarnia mnie wtedy wstyd. Przed oczami stają mi spięte kłami 42 mostów murowane brzozy Weiltawa w Pradze.

Gdzie szukać przyczyny tego zaniedbania? Prace nad regulacją Wisły prowadzono przed wojną co najmniej chaotycznie. Wielokrotnie przerywano je, po czym ponownie wznowiano. To, czego dokonano, niszczone było z łatwością przez wiosenne powodzie i wylewy. Wielokrotnie rozpoczynano budowę portu na Żeraniu pozostawiano na długie miesiące w stanie surowym. Wisła, która powinna dla naszego kraju stanowić ważny szlak komunikacyjny, ignorowała swoje płaszczyste brzozy i, albo rozlewała się ponad miarę, niszcząc zasiewy i ludzki dobytek, albo, w czasie letniej posuchy, ukazywała swe żółte dno.

„Dziś z powodu niskiego stanu wód na Wiśle żegluga przerwana” — był to w ciągu lata dziesiątki razy powtarzany komunikat „Vistuli”. Mimo to statek kręcący beładnie na kami na wiślanej mielinie nie należał do rzadkich widoków.

Polska posiadała przed wojną teoretycznie 6400 km szlaków żeglownych. Wszystkie one były jednak prawie tak prymitywne i znajdowały się w stanie takiego zaniedbania, że w sensie komunikacyjnym nie mogły być brane poważnie pod uwagę. Świadczy o tym dobitnie fakt, że zaledwie 1 proc. ogółu przewozów przypadało na komunikację wodną.

Rozpoczęto wprawdzie budowę zbiorników wodnych w Porąbce i Rożnowie, na górskich dopływach Wisły — Sole i Dunaju, na tym jednak — w zasadzie — poprzestano.

Po wojnie, na skutek przystąpienia się naszych granic na zachód, zmieniła się zarówno jakość, jak i ilość polskich szlaków wodnych. Posiadamy obecnie 4200 km dróg żeglownych; z tego 3200 km dróg naturalnych i 1000 km — sztucznych. W wyniku jednak niszczyielskich działań cofających się wojsk niemieckich drogi te uległy znacznemu zniszczeniu. Na Wiśle ocalały tabor żeglunowy wynosił zaledwie 10 proc. stanu przedwojennego, na Odrze z 1 miliona ton taboru pozostało zaledwie 40 tys. tzn. 4 proc. Szkody w budowlach wodnych na Wiśle nie przekraczały wprawdzie normalnych strat powodziowych, natomiast na Odrze, Kanale Gliwickim i Nogacie zniszczone zostały wszystko, co stanowiło jakąkolwiek wartość gospodarczą. Zabłokowane były porty, spalane warsztaty i magazyny. Stocznie leżały w gruzach. W korytach rzek „plywały” konstrukcje wysadzonych mostów i wraki zatopionych statków. Brak było sprzętu technicznego.

Podjęto jednak od razu akcję, mającą na celu ożyczenie dla żeglugi naszych rzek i kanałów. Już w zimie 1945—1946 na Wiśle pracowały łodołamacze wyremontowane z podniesionych z dna wraków. Jeszcze wiosną 1945 roku — natychmiast po zakończeniu działań wojennych — przystąpiono do oczyszczenia Odry i Kanału Gliwickiego. Uwołniono port w Koźlu z zalegającego jego basen żelastwa i ślaski węgiel mógł bez przeszkód popłynąć do portu szczecińskiego. Dzięki remontowi dwudziestu służ na Kanale

Gliwickim i Odrze Skanalizowanej — arteria ta stała się jedną z ważniejszych dróg transportowych dla naszej odbudowującej się gospodarki. Jednocześnie również Wisłę uwalniano z cychających na statki żelaznych, podwodnych raf. Na przestrzeni jednego tylko roku 1945—1946 oczyszczono koryta rzek z 800 wraków i 20 zwalonych mostów. W tym też roku Kanał Bydgoski udośćpiony został dla żeglugi. Oprócz tych podstawowych zadań, podjęte zostały w 1945 roku prace nad ukończeniem budowy trzydziestu kilometrów kanału Gopło — Warta.

Po naprawieniu w pierwszych latach powojennych blokujących naszą żeglugę śródlądową zniszczeń — przed gospodarką polską stanęło najmniej ważne zadanie ucylenia z przepływających przez nasz kraj rzek żeglownych jednolitego systemu wodnego, a nawet połączenia go z systemami krajów sąsiednich. Zagadnienie stworzenia arterii wodnej łączącej Morze Czarne z Bałtykiem stanowiło od lat najbardziej istotny problem światowego handlu. Długa, okrężna droga przez Morze Śródziemne, Ocean Atlantycki i Morze Północne wpływała wybitnie na wzrost cen sprowadzanych tym szlakiem towarów. Droga lądowa przez południową Europę była naturalnie jeszcze kosztowniejsza. Realizacja projektu budowy olbrzymiej, łączącej dwa morza magistrali wodnej stała się zatem jedną z pilniejszych konieczności gospodarczych doby obecnej. Na terenie naszego kraju znalazła ona wyraz w planach budowy bodajże największej inwestycji wodnej najbliższych lat. Budowa arterii Wschód — Zachód — łączącej przez Dniepru z systemem wodnym Bug — Wisła — Noteć — Warta i Odra. Przez Wisłę nastąpi połączenie z Bałtykiem, a przez Odrę z silnie rozwiniętymi systemami dróg wodnych Niemiec. W związku z tym już plan 6-letni przewiduje częściową kanalizację Bugu, budowę kilku zbiorników zasilających rzekę, oraz zakończenie regulacji Wisły na odcinku od ujścia Bugu pod Modlinem do ujścia Brdy, co połączy wody Bugu z Kanałem Bydgoskim. Należy tu podkreślić fakt, że skanalizowanie Bugu skróci drogę Brześć — Śląsk z 1300 do 600 km. Poza tym, dzięki budowie kanałów bocznych i sprostowań, droga wodna od Brześcia do Modlina skrócona zostanie o 15 proc.

Na Wiśle od Warszawy do Silna wybudowanych zostanie wiele tam spiętrzających poziom wody, co uczyni ten martwy dotąd dwustukilometry odcinek rzeki dostępnym dla żeglugi dużych, nawet 400-tonowych jednostek. W pełnym toku znajduje się już również budowa portu przemysłowego na Żeraniu, który, dzięki połączeniu kanałowym z Bugiem, będzie jednym z centralnych punktów powstającego, wielkiego systemu wodnego.

Stopień wodny na Odrze poniżej Wrocławia usprawni zasilenie rzeki w czasie niskich stanów wody, co zlikwiduje sezonowe trudności w żegludze. Ma to wielkie znaczenie, zwłaszcza wobec stale wzrastającej roli, jaką Odra odgrywa w europejskim systemie żeglugi śródlądowej. Już dziś z odrzańskiego szlaku wodnego korzysta oprócz Polski — Czechosłowacja, NRD, a nawet Związek Radziecki.

Budowany obecnie w górnym biegu Wisły kanał na odcinku od ujścia Przemszy do Nowej Huty jest pierwszym odcinkiem Kanału Gór-

nośląskiego, który włączy Śląsko-krakowski okręg przemysłowy w system komunikacji wodnej Europy wschodniej i zachodniej.

W ostatnich tygodniach ukończono została już budowa szlaku i jazu spiętrzającego pod Przewozem oraz portu w Nowej Hucie. Drugi stopień wodny budowany jest w rejonie Dąbia pod Krakowem, trzeci zaś pod Łęczanami, skąd czerpać będzie energię wielka elektrownia wodna, która ma powstać w Skawinie.

Rozwój możliwości transportu wodnego pociąga za sobą konieczność budowy nowych portów rzecznych, modernizacji istniejących urzędów przeladunkowych, odbudowy stoczni i wyposażenie warsztatów nadbrzeżnych w nowoczesny sprzęt. Nieodzowną również jest rozbudowa takich portów, jak Włodawek na Wiśle, który stanowi ważny punkt przeladunkowy dla łódzkiego okręgu przemysłowego, oraz portów systemu wodnego Odra — Gliwice, Koźła, Opola i Wrocławia, które muszą dostosować swą przepustowość do zwiększonej ilości taboru pływającego. Już bowiem pod koniec bieżącego roku dzięki wyremontowaniu starych i budowie nowych jednostek, wartość przewozów wodnych wzrosła w porównaniu z rokiem 1949 o 100 proc. Po zakończeniu zaś zaplanowanych obecnie, lub znajdujących się już w toku realizacji inwestycji — przewozy wodne stanowią będą 16 proc. ogółu transportów.

Intensywnie dąży się obecnie do możliwie największego ociążenia kolei od transportu takich towarów, jak węgiel, ruda, cement, koks, oraz wszelkich towarów, nie ulegających łatwemu zepsuciu i wytrzymujących długo jednak trwający transport wodny. Kolej zaś winna ograniczyć swoją rolę do transportu — od i do portu, lub, w wypadkach koniecznych, do jednego z ogniw w transporcie kombinowanym.

Oczywiście, że inwestycje w zakresie gospodarki wodnej nie zamykają się w ramach zagadnień komunikacyjnych — transportowych. Związane są one jak najściślej z innymi problemami tej dziedziny. Często jedne wynikają z drugich. Spięzienia wodne w górnym biegu Wisły i na Dunaju, budowane w celu użegłownienia tych rzek zabezpieczą jednocześnie olbrzymie połacie kraju przed powodzią. Zbiorniki wodne na Odrze, Nysie Kłodzkiej i Bystrzycy spowodują obniżenie się fali powodziowej o 1 m. Olbrzymi basen wodny w Goczałkowicach w dostatecznej ilości zoaprojektuje Śląskie zakłady przemysłowe i domy mieszkalne w wodę.

Niesposób wylizać wszystkie melioracje i nawadniania, które zmieniają bajora lub piaszyszcze diuny w tysiące hektarów uprawnych pól. Trudno w paru słowach przedstawić problem „białego węgla”, którego wykorzystanie otwiera olbrzymie możliwości przed naszą energetyką. Wystarczy podkreślić, że sama Wisła marnuje obecnie 5 miliardów kilowatogodzin rocznie.

Zatrzymajmy się jednak na razie przy transporcie. To problem i tak zbyt wielki, by można go wyczerpać na kilku szpaltach jednego artykułu. To kwestia realizacji olbrzymich zamierzeń, których efekt wyrazić można liczbą dziesięciu milionów ton przewozów rocznie. Dziesięć milionów ton tańszych towarów.

Marian Chrzczonowski

Katolicy w świecie

NOWA AKCJA „NIESFORNEGO” BURMISTRZA

BURMISTRZ Florencji, La Pira, obrońca robotników w głośnej już sprawie fabryki „Pignone” ponownie wystąpił zdecydowanie przeciwko przemysłowcom włoskim. Tym razem zgłosił on protest w związku z zamknięciem huty „Cure”.

Na skutek trudności finansowych Spółka Akcyjna „Cure” postanowiła w styczniu br. zawiesić swoją działalność i przystąpiła do likwidacji przedsiębiorstwa, a kierownictwo fabryki powierza przewodniczącemu spółdzielni robotniczej. Zadaniem spółdzielni jest „zapewnić pracę całej zaludzonej” — La Pira obszerne motywuje swoją decyzję na mocy artykułu 43 Konstytucji Republiki Włoskiej, który przewiduje „możliwość interwencji państwa lub administracji publicznej dla wyłączenia przedsiębiorstwa posiadającego wybitne znaczenie dla dobra ogólnego, a których podstawy finansowe zostały zachwiane”. Powołuje się również na te paragrafy konstytucji, które mówią o usuwaniu przeszkód natury ekonomicznej, mogących utrudnić swobodny rozwój jednostki, o honorowaniu prawa do pracy i zabezpieczeniu środków gwarantujących to prawo oraz o rozwoju prywatnej inicjatywy ekonomicznej, która chce być wolna nie może działać wbrew polityce społeczeństwa, uwzględniającej przy tym godności człowieka. Jako odškodowanie należne spółce za wyłączenie, nowa spółdzielnia robotnicza ma wypłacać kwotę 300.000 lirów miesięcznie. Niezależnie od tego rozporządzenia profesor La Pira ogłosił dobrowolną subskrypcję pod hasłem „brak nam 15 milionów” w celu natychmiastowego uruchomienia fabryki.

Z jaką reakcją spotkała się inicjatywa burmistrza? Obydwa jego wystąpienia odbiły się szerokim echem w społeczeństwie włoskim, w prasie i w kołach politycznych. Lewicowy „Il Nuovo Corriere” zajmuje stanowisko odmienne od La Piry, jeżeli chodzi o subskrypcję, ponieważ jest zdania, że kryzys w hucie będący odbiciem kryzysu ogólnowłoskiego należy leczyć drogą zmiany kierunku polityki ekonomicznej. Natomiast wyraża on pochlebną opinię o zarządzeniu burmistrza dotyczącym utworzenia spółdzielni robotniczej.

Również związek zawodowy wyraził swoje uznanie dla postawy przyjętej przez La Pirę.

Również związek zawodowy wyraził swoje uznanie dla postawy przyjętej przez La Pirę.



Giorgio La Pira

Natomiast dzienniki chrześcijańskie — demokratyczne nie ujawniają reakcji politycznej, jaką niewątpliwie wywołało w kołach chadeckich nowe wystąpienie La Piry.

Oficjalny organ tej partii, „Il Popolo” jak również „Quotidiano”, wydawany przez Akcję Katolicką, zamieścił jedynie notatkę o zajęciu huty. Kompletnym milczeniem pokryły to sprawę dzienniki socjaldemokratów i republikanów.

Należy jednak zwrócić uwagę, że o ile nie dano się dostrzec reakcji oficjalnych kół katolickich, akcja La Piry poruszyła jednak te ośrodki katolickie, które starają się jak najusilniej utrzymać więź między Kościołem a masami pracującymi.

Na specjalną uwagę zasługują reakcja pewnej części młodzieży chrześcijańskiej demokracji, a głównie tej młodzieży, która chciałaby pchnąć partię na inne tory.

Mamy tu do czynienia z pewną niespodzianką, bo jakże nazwać inaczej taką wypadek, że egzekutywa młodych członków partii w prowincji florencyjkiej zaaprobowała na posiedzeniu nadzwyczajnym wystąpienie La Piry. Biorąc pod uwagę fazę kryzysu w hucie „Cure”, interwencję burmistrza, komunikat konferencji przemysłowców (jak najbardziej krytyczny w stosunku do La Piry) oraz kampanię prasową. Niezależnie, uznała, że kryzys w hucie dowodzi wewnętrznych braków w obecnym systemie prawa własności, który to system nie jest zdolny zagwarantować pokoju społecznego i rozwoju stosunków ekonomicznych.

Egzekutywa uznała również, że zarządzenie La Piry jest tak z punktu widzenia prawnego jak i społecznego oparte na poszczególnych paragrafach konstytucji, oraz że stanowisko konferencji przemysłowców, jak i komentarze prasy „niezależnej” mają wyraźnie na celu podważenie energetycznej akcji politycznej — społecznej burmistrza. Egzekutywa wyraża pełne poparcie dla akcji La Piry i wzywa młodzież chrześcijańską — demokratyczną do wzięcia jak najszerszego udziału w podpisywaniu petycji dla uratowania huty „Cure”.

Należy przyznać, że stanowisko

przyjęte przez młodzież katolicką jest nad wyraz zdecydowane i jasne.

Niemniej zdecydowaną postawę przyjął zarząd związków zawodowych, który odpowiedział na apel La Piry wpłatą kwoty 50 tysięcy lirów na rzecz nowoutworzonej spółdzielni robotniczej.

Natomiast koła przemysłowców czują się urażone i zaniepokojone zarz. Urażone, ponieważ La Pira sprawił im przykrą niespodziankę, zaniepokojone, ponieważ jego rozporządzenie zwróciło uwagę — po raz pierwszy od czasu — gdy chrześcijańska demokracja jest u władzy, tj. od 1948 roku — na stosowanie zasad konstytucji w życiu społecznym.

W tej chwili trudno powiedzieć, jaki będzie rezultat poczynania burmistrza Florencji. Dziś dla profesora La Piry obowiązek chrześcijański to akcja miłosierdzia, która wspólnie z duchem i literą konstytucji republikańskiej powinna stanąć do walki z nędzą narodu. Jednakże fakt, że musiał on w okresie półtora roku interweniować dwukrotnie w podobnych wypadkach dowodzi, że środki, którymi się posługuje nie leżą zła u podstaw, a stanowią doraźny środek zapobiegawczy. Niemniej zainteresowanie wzbudzone jego działalnością i reakcje jakie ona wywołuje, szczególnie wśród młodzieży chrześcijańskiej świadczą o stale wzrastającej świadomości politycznej katolików włoskich.

h.

SYMBOL „H”

ZERO minus trzy... zero minus dwa... zero minus jeden — przed niewiele dniami słyszymy znowu głos speakera, liczącego czas do momentu wybuchu bomby atomowej pod Las Vegas; wstrząsnącym dreszczem słuchaczom wydało się, że to tykał pleknieli zegar techniki, nieublaganie, chłodno. Wrażenie zimna i pustki przenosiło ich w nocny krajobraz pustyni Nevada — a może też inne pustyni, zamierzonej przez człowieka, który rzucił choćby kiedyś bombę wodorową?..

Tak dramatycznie pisze zachodni-niemiecki „Frankfurter Allgemeine Zeitung” po dziesięciu latach ery atomowej. Takie uczucia powstają w ludziach, będących świadkami samobójczego wysiłku zniszczenia: bomba atomowa — mało; bomba wodorowa — owszem, ale i na niej nie można poprzestać; w cyрку śmierci przygotowuje się nowy numer — Kobalt 60! Oto, co podaje o nim we wspomnianym piśmie wybitny specjalista fizyki termojądrowej, prof. Otto Hahn: „O ile bomba atomowa mogła być zniszczona, to tyle jedna bomba „H” może zburzyć cały Berlin lub Londyn, albo zgola Nowy Jork, bo w przeciwieństwie do poprzedniczek wielkość bomby wodorowej nie zna żadnych granic. A przy tym powstaje druga groźba budząca możliwości. Jeśli otoczy się bombą wodorową grabnym płaszczem kobaltu, natenczas wskutek wywołania się młnóstwa neutronów, które mieszają się ze zwykłym kopalniami, powstają ogromne ilości ciekawego pyłu radioaktywnego, rozprzaskającego się w atmosferze we wszystkich kie-

runkach. Gdziekolwiek spadnie ten pył, może wywołać swe niesamowite skutki. Obliczono w Stanach Zjednoczonych, że dziesięć bomb kobaltowych spowodować może tak silne i długie lata trwające promieniowanie kobaltu 60, że bez względu na to, w którym miejscu bomby spadną, grozić to będzie poważnie dalszemu istnieniu ludzkości... Jakiś szalony lub zalepiony żądą władzy dyktator mógłby w tej sytuacji, idąc za hasłem „après nous le déluge”, wtrącić całą cywilizowany świat, a wraz z nim i swój własny kraj w objęcia radioaktywnego śmiertelnicę.

Jeśli postawimy komuś, kto znany nam jest — łagodnie mówiąc — z tzw. „orientacji zachodniej” żenująco proste pytanie, po co — wobec takich perspektyw — kraje imperializmu budują coraz nowsze typy broni termojądrowych, odpowie bez namysłu: bo to właśnie daje im przewagę nad Związkiem Radzieckim, bo dzięki temu będą mogli dyktować mi warunki. Czy tak jest naprawdę? Postuśmy się dwoma dość znanymi autorytetami. Premier Winston Churchill oświadcza 1 marca w Izbie Gmin, iż w najbliższej przyszłości oba obozy osiągną taki stopień „nasyconia” bronią termojądrową, iż każdy z nich będzie w stanie zniszczyć przeciwnika i wszelkie „nawyżki” staną się jedynie pozostawionymi matematycznymi bez znaczenia dla losów wojny. A na drugi dzień zza oceanu potwierdza to prezydent Eisenhower: „nie wiadomo dokładnie, ile czasu będzie można utrzymać ten przewagę, przy tym wchodzi w grę inny czynnik — być może nadejdzie czas, gdy przodowanie nie będzie miało znaczenia w urządzeniach obronnych”.

„Niezwykłość” atlantydy okazała się bluffem — prasa zachodnia uderza na alarm. W związku z brytyjską Białą Księgą o rozpoczęciu produkcji bomb wodnorodnych, „New Statesman and Nation” pisze: „Planowanie w dziedzinie obrony opiera się na złudzeniu, że NATO stało się w porównaniu do bloku wschodniego silniejsze, niż w r. 1950... Jeśli bomba „H” ucinie strategię sily wyzwaną przez NATO nonsensem — co przyznała Biała Księga — to stało się to już w 1950 r. Powstała ona na podstawie fałszywego sędu o zaoferowaniu technicznym ZSRR, kulturowym przez 9 lat w kraju zachodnim. Obecnie, gdy fałsz stał się oczywisty, nasza atomowa linia Maginota została ominięta i okrążona od tyłu”. Podobnie rozwiewa się mit o bezpieczeństwie odległej Ameryki. Gen. Thomas Phillips pisze w czasopiśmie „The Reporter”, że rejon powitrzny USA nie jest już zabezpieczony przed obecnymi nalotami.

Ludność krajów kapitalistycznych dochodzi do nieuniknionych wniosków. „W wojnie prowadzonej z użyciem bomb atomowych nie ma już ani zwycięzcy, ani zwyciężonych”. „Jeśli w powszechnej wojnie użyjemy broni termojądrowych, popełnimy narodoie samobójstwo” — od takich zdań aż roi się w prasie zachodniej.

Bomba wodorowa budzi w każdym człowieku pierwotne, instynktowne uczucie strachu; na pewnym szczeblu rozwoju intelektualnego dołącza się do tego chłodno przemyślana znajomość nieuniknionego następstwa faktów; ale dla chrześcijanina otwiera się jeszcze inny

Życie czynne a kontemplacja

(Dokończenie ze str. 1)

Krzyża, św. Teresy z Avila lub św. Teresy z Lisieux, wtedy przekonany się, że harmonia między kontemplacją a życiem czynnym jest u nich bardzo wyraźna, że święci coby najmniej nie zaniedbują działania na korzyść modlitwy, a przeciwnie — kontemplacja jest jakby motorem ich życia czynnego. Oczywiście działają oni, tak jak każdy człowiek, w pewnych, określonych ramach wyznaczonych przez ich powołanie, zdolności, warunki społeczne, w jakich żyli, i zadania życiowe, jakie sobie sprezykowali. Ale wszyscy oni działali, wszyscy byli twórcami swego świata bliźnich dla Boga. Sw. Jan od Krzyża i św. Teresa z Avila zakładają klaszatory, które, szczególnie w warunkach historycznych, w jakich żyli, są nie tylko kontynuacją dzieła Odkupienia i uświęcenia, ale również twórczą kontynuacją dzieła Stworzenia. Sw. Jan służył bezpośrednio ludziom udręczającym chorych, mała św. Teresa cicha ułatwia życie każdemu ze swego otoczenia działając przy tym świadomie w charakterze wychowawcy. Wszyscy troje zaś piszą wielkopomne dzieła, które są trwałym wkładem w duchową kulturę ogólnoludzką i których znaczenia dla bliźnich są w pełni świadomi. Droga uświęcenia tych wielkich mistyków nie jest odejście od stworzenia, od ludzi, lecz miłosne oddanie im całego swego „ja” bez reszty, bez postawienia sobie nawet cienia egoizmu.

Charakterystyczny jest tu paradoks sformułowany przez Tomasa Mertona: człowiek nie może wejść na najwyższy szczyt swej duszy i przebić się przez ten centralny punkt do Boga jak tylko przez całkowite wycięcie z siebie i rozzalenie całej swej zawartości duchowej bliźnim w czystej niesamolubnej miłości.

Nawet sama modlitwa, sama miłość aktualna nie jest pozbawiona cech ścisłej łączności z całą społecznością chrześcijańską. I w tym leży olbrzymia rola, jaką mają do spełnienia zakony kontemplacyjne w Kościele katolickim. Zakony są tymi ośrodkami nieustannej modlitwy dokonywanej w imieniu całej społeczności Kościoła za całą społeczność Kościoła w ogóle i za każdego jej członka w szczególności. Zadaniem tych klasztorów w zakresie realizacji miłości aktualnej jest poczynny rodzaj modlitwy: modlitwa chwalebna, modlitwa dziękczynna, modlitwa wyrażająca przeproszenie oraz modlitwa wyrażająca prośbę. Członkowie tych klasztorów nie tylko nie mogą być odizolowani od całej społeczności ludzkiej, ale są jakby szczególnie upoważnieni przez nią do wyrażania Bogu chwały, dziękczynienia, przeproszenia za konkretne winy ludzkie, próśb o zaspokojenie konkretnych potrzeb nadprzyrodzonych i przyrodzonych współczesnych ludzi. W takim wypadku klaszatory stają się najpełniejszymi w doczesności wyrazicielami dogmatu świętych obcowania, które przenika cały Kościół, zarówno pielgrzymujący, cierpiący, jak i triumfujący. Charakterystyczny jest tu zdanie wypowiedziane przez św. Teresę z Lisieux: Kochać... i powracać na ziemię, by szerzyć miłość dla największej miłości, to mnie pociąga... — stwierdza ona na parę dni przed śmiercią w rozmowie z jedną z sióstr, wtedy gdy ta ostatnia mówi o szczęściu, jakie święta spotka w niebie. Świadczy to o głębokim umiowaniu przez Małą Świętą człowieka i o głębokim jej zaangażowaniu w służbę człowiekowi dla miłości Boga.

Krzywdę natomiast całej społeczności Kościoła wyrządzają ci, którzy z formy życia kontemplacyjnego czynią sobie wygodną i ustronną kapliczkę dla czci swojej nieśwobstwa, egoizmu i pieknoduszstwa. Waclaw Auleytnier

Dogmatyka

teologiczna o Bogu i naszym udziale przez Łaskę w życiu Boga. Odnośny wyrażenie, że zakres definicji jest za szczypty, dogmatyka bowiem zajmuje się nie tylko naszym udziałem przez Łaskę w życiu Bżym. Jeśli określenie to będziemy rozciągali na dzieło Stworzenia czy na traktat o Aniołach, będzie to naciąganie definicji, która ani przez „rodzaj najbliższy ani przez różnicę gatunkową” wprost nie obejmuje przykładowo wymienionych zagadnień. Na następnej stronie autor mówi o zadaniach dogmatyka, który spełnia postępując się praxidantami logiki formalnej oraz innymi metodami naukowymi. Nie jest przy tym wyjaśnienie, czy autor zgodnie z terminologią neoscholastyczną miał na myśli logikę tradycyjną, czy też wedle nowoczesnej nomenklatury obejmował tym i logistykę. W każdym razie m. o. n. a. było z pozytywkiem podkreślić, że w teologii dogmatycznej da się zastosować rozumowanie redukcyjne zacierpienie z nowoczesnej logiki teoretycznej (Ks. I. Różycki, Dogmatyka t. I, 216—238, Kraków 1947). Każdy czytelnik będzie ciekaw dowiedzieć się, jakimi metodami naukowymi kieruje się dogmatyka. Pozwalam sobie w tym małym punkcie zastąpić autora i przypomnieć, że dogmatyk uprawia metodę pozytywną, egzegetyczną, historyczną i spekulatywną. Skoda, że autor w uściślonej drugiej definicji „Dogmatyki” (str. 15) nie pozostał wierny pierwszemu sformułowaniu i pominał nawet ograniczony przez siebie zakres Bożej działalności, pisząc tym razem, że *nazwy dogmatyki nauką o Bogu na podstawie Objawienia, wyrażonego w artykułach wiary i dogmatów*. Podobne zastrzeżenia jakie podnieśliśmy w stosunku do definicji dogmatyki stosują się też do określenia teologii, jakie czytamy na tej samej stronie. Zdziwieni jesteśmy, że w naszkicowanej definicji aktu wiary autor pomija współczynnik nadprzyrodzony (str. 16) tym więcej, że poniżej (str. 41) jest o nim mowa. Żałujemy bardzo, że obecnie nie możemy przedstawić drugiego zeszytu pracy ks. Pietkuna pt. „Rozum i wiara”. Wyjaśniloby to nam, co autor rozumie przez Tradycję, ponieważ to co pisze na ten temat w omawianej książce (str. 21—22) nie jest dość jasne. Autor bowiem przeciwstawia Tradycję Pismu św. (str. 22 odn. 1) a równocześnie stwierdza, że jest ona wyczerpującym źródłem Prawdy objawionej. Czy w takim ujęciu Tradycja przeciwstawiona pisanemu Słowu Bożemu może być wyczerpującym źródłem Objawienia? Chyba, że za cenę wielkiego zdeprecjonowania Pisma Bożego, a przecież autor na str. 23 uważa, że najstarszym i głównym dokumentem Tradycji są księgi natchnione.

Wdzięczni jesteśmy autorowi za rozwiązanie do myśli augustyńskiej, która stanowi jeden z poważnych elementów teologicznych tomizmu (str. 29), ale nie rozumiemy co znaczą wszelkie inne domieszki elementów obcych dla myśli chrześcijańskiej, niejednokrotnie objętych wspólną nazwą augustynizmu średniowiecznego (str. 29). Wydaje się nam, że autor na str. 29 podobnie jak i na str. 39 zbyt rygorystycznie potraktował nakaz trzymania się filozofii św. Tomasza (kan. 1366 § 2). Odnosi się on do nauczania, a nie do badania naukowego, przynajmniej nie w tym samym stopniu.

Przeglądając dalej podręcznik napotykałyśmy wiele pozytywnych rozdziałów o roli filozofii w dogmatyce. I tu jednak musimy postawić autorowi dwa pytania. W swoim życiu przeglądaliśmy i studiowaliśmy różne epistemologie, jednak nie zauważaliśmy, by powstanie czyli pochodzenie ludzkich form poznawczych było przedmiotem badania epistemologa, gdyż jest to zagadnienie na wskroś psychologiczno-metazyficzne. „Psychologizowanie” metafizyki (str. 31—32) jest osobistym, oryginalnym wkładem ks. Pietkuna, jednak uważamy, iż powyższe zabarwienie osłabia obrotu tomistycznej ontologii przed zarzutem idealizmu. Nierozumiałe jest też dla nas kwalifikowanie metafizyki jako „systemu przyłomnego myślenia” (str. 32). Możemy to wyrażenie usprawiedliwić utajoną polemiką z przeciwnikami metafizyki, ale można wątpić, czy trzeźwi antymetafizycy myślą, że metafizyka jest systemem... nie-przyłomnego myślenia. Zdaje się nam również, że zamiast wyrażenia „rojęcia powszechne” (str. 34), lepiej posłużyć się było terminem prof. Tatarskiewicza „powszechniki”.

Czy przeciętnemu czytelnikowi wiele powiedzą nazwiska konceptualistów, skoro dobrze nie wie, co to jest konceptualizm. Czy nie lepiej było wspomnieć o głosnym dźwięku kłzynie zasady przyzwyczajeni? Zająłbyśmy jeszcze na chwile do spraw biblijnych. Doszukiwaliśmy się w 6 rozdziale księgi Rodz. małżeństw mieszanych i ich oceny z punktu widzenia religijnego należy chyba uważać za anachronizm (zob. Komentarz W. Kozakowskiego, Biblia poznańska I, 162). Autor wzięty aktualizuje i do biera głose, znane książki dla zainteresowania czytelnika. Jednak nie wiemy, czy Daniel-Rops jest najbardziej kompetentnym do rozwikłania trudnego zagadnienia synoptycznego. Autor na nieszczęs-

W roku 1950 ukazała się w Paryżu (Editions du Seuil) powese Éricane de Greeffa *La nuit est ma lumière*. Jej autor, rodowity Belg, jest profesorem kryminologii na uniwersytecie w Lo wanum i kierownikiem oddziału psychoneuroz w belgijskim Instytucie Neurologicznym. Napisał on fundamentalne dzieło: „Wstęp do kryminologii” i ogłosił liczne rozprawy o życiu uczuciowym człowieka, szczególnie książkę „Nasze przeznaczenie i nasze instynkty” (Plon 1945) oraz studium „Instynkty obrony i sympatii” (Presses universitaires de France, 1947). De Greeff jest żarliwym uczniem chrześcijańskiego filozofa niemieckiego, Maxa Schelera, który przewzyczył kantowski relatywizm etyczny i ukazał na nowo obiektyw- ną, absolutną wartość aktów moralnych podkreślając szczególnie znaczenie miłości jako fundamentu duchowego rozwoju człowieka.

Szegółoły te rzucają światło na powieść de Greeffa. Nie jest on zawodowym pisarzem-beletrystą. I zapewne też nie zamiera ubiegać się o laury Cronina, Carosy, Deobлина czy Czechowa, pisarzy, którzy porzucili swój zawód, by poświęcić się wyłącznie literaturze pięknej. W powieści ukazują swoje problemy i troski zawodowe, nie przestają być lekarzem i uczonym, tylko że dzięki powieści pomnaża ogromnie rezonans społeczny swej służby dla człowieka. Sprawia ona bowiem wrażenie uciążliwej, usiątkrotnionej konsultacji lekarskiej, usiątkrotnionej, a jednak bardzo osobistej, poufnej, niemal konfesyjnej. Elementy literackie odgrywają w niej niemal wyłącznie rolę instrumentu terapeutyki.

Powieść dr de Greeffa — znalazła duże powodzenie wśród czytelników. Cieszy się poczytno- ścią i u nas, wydana pod koniec ubiegłego roku przez „Pax” pt. „Noc jest moim światłem.”*

Zasługuje to tym bardziej na podkreślenie, że nie jest bynajmniej książką łatwą i udzielającą przyjemnych wrażeń. Wniknięcie w intencje autora wymaga poważnego wysiłku intelektualnego, a ponadto sam de Greeff utrudnia odnalezienie właściwego sensu powieści, zbyt wiele pragnąc w niej pomieścić; przy braku doświadczenia pisarskiego zaciążyło to ujemnie na kompozycji: jest ona niejednolita i mało przejrzysta. Myślę, że trudności te szczególnie odczuwa czytelnik polski, choćby już z tego powodu, że nie wie nic o a- torze. Oszołomiony wielogodzinnym przebywaniem w mrocznym gabinecie psychiatrii, zdezorientowany nadmiarem ukazanych tam postaci, środków i problemów, nie od razu dotrze do światła, które by mu pokazało jasno, o co właściwie de Greeffowi chodzi.

Starajmy się pomóc mu w tym niecie.

RZECZ dzieje się w Belgii, opodal Brukseli, w roku tragicznej śmierci królowej Astrid, tj. w roku 1935. Dobrze sytuowaną rodzinę doktora Van Meenena dotknęło nagle wielkie nieszczęście: najstarsza z jego trzech córek, wytworna, piękna i władca Elżbieta, żona młodego lekarza, Maurycego

Ronquières, stała się ofiarą objędu, ciężkiej choroby umysłowej. Zaczyna ona odnosić się do swego środowiska rodzinnego jak do czegoś obcego i wrogiego, a zarazem zupełnie fikcyjnego, i wyobraża sobie, że jest żoną faraona Tutankhamena. Wraz z bohaterami powieści z napięciem śledzimy przeżycia przybieg choroby i wnikamy w świat jej obłąkanych rojeń i obsesji. Ale wnet uświadomiamy sobie, że nie to stanowi główny temat powieści, lecz wpływ i zmiany, jakie dokonuje objędu Elżbiety w zachowaniu się i psychice tych, którzy ją dotychczas kochali i uwielbiali. Później zaś temat ten zobiektywizuje się w postaci problemu właściwej miłości człowieka do człowieka.

Jesteśmy od samego początku świadkami zdumiewającego zjawiska: Elżbieta zaczyna się sta- wać dla swej rodziny, dla ojca, siostr i męża, kims ob- cym, dalekim, kims, kto budzi lęk, a nawet odrazę, złość i nienawiść. Ale ludzie doznający tych uczuć posiadają dużą wrażliwość moralną. Są więc przerżeni nie tylko chorobą Elżbiety, nie tylko nieszczę- ściem, jakie ich nawiedziło, ale jeszcze bardziej tym, co ta choroba w nich samych wywołała. Każda z tych osób przechodzi ostry kry-

kim głęboko jątrzące poczucie winy, które — choć zrazu nieokreślone i mgliste — nieustannie nurtuje duszę i okazuje się w sposób przerażający uzasadnione. Tak się np. przedstawia sprawa z ojcem Elżbiety, Elżbieta nazwała go niespodzianie w pierwszym ataku objędu „obłudnym komediantem”. Słowa te mogły boleśnie zranić ojca, ale tylko na chwilę: były przecież tylko przejawem choroby umysłowej i niczym więcej. A jednak doktor Van Meenen nie może zaglądzać „ironicznych, władczych i zjadliwych” słów swej córki. Wywołały w nim wstrząs, jakiego nigdy w życiu swym jeszcze nie doznał, „jakby głos jakiś nie wiadomo skąd płynący, obcy i tajemniczy ozwał się, by wydać o nim sąd, publicznie go oskarżyć...” Zwolna ukazuje się jego sądującym oczom całe minione życie jako coś z gruntu zwiecznego i nieudanego, jako rezultat wielkiej winy, popełnionej w młodych latach wobec drugiej istoty jako owoc zdradzonego obowiązku miłości, a tym samym sprzeniewierzenia się samemu sobie. I teraz objędu córki staje się dla niego nieszczęściem, na które sobie zasłużył.

Albo Maurycy Ronquières, mąż Elżbiety: przez cały czas trwania choroby Elżbiety zmagając się on nieustannie z poczuciem winy wobec

poczucia winy. Nie wiedziała, na czym ona polega, ale wystarczało, by zrobiła coś samodzielnego, a natychmiast poczucie winy wracało. Bezustannie powtarzała sobie, że idzie słuszną drogą, ale przekonanie, zdobyte z wielkim trudem po- trafiło się załamać na czymkolwiek, choćby najbliższym sprzeciwie. Utajone poczucie winy, jak to określa ją niektórzy psychologowie, tkwiło w głębi jej duszy...”

To poczucie winy, dręczące postacie de Greeffa, nie ma charakteru obsesji, przeciwnie, jest wyrazem zdrowia psychicznego, posiada funkcję twórczą. Jest ryłcem, kształtującym profil moralny człowieka. I zawsze znajduje uzasadnienie w konkretnych decyzjach woli, w czynach niewłaściwej, złe pojętej miłości, w odruchach egoizmu, w prymacie instynktów, głównie instynktu w ł a d z y i a g r e s j i .

Wepchnięty raz na ciernistą drogę roztrząsań moralnych, postacie de Greeffa odkrywają prawdę, która nieści w sobie właściwy sens życia, tajemnicę szczęścia. Na czym ona polega? Na przyjęciu postawy, „która zostawia drugiej istocie miejsce w naszym życiu”, głównie postawy opieki i ochrony. Wyraża ją najlepiej miłość ojca do dziecka. Jest to miłość ofiarna, czujna i

ście w te sferę, ale właściwie „re- ligię zastępowała mu Elżbieta”. Francine: „nie była przesadnie po- bożna, nawet religijna w pełnym tego słowa znaczeniu. Ale uważała, że należy się modlić, prosić Boga, by się człowiekiem opiekował, od- dalal od niego choroby, leczyl jego cierpienia; ten, kto się modli, może być przekonany, że nawet gdy mu się coś przydarzy, jest to najmni- szej zło, jakie go mogło spaść, i powinien się z nim pogodzić.”

Są to słowa bardzo znamienne, podobnie jak jedno zdanie, w którym Francine charakteryzuje postawę całej swej rodziny wobec religii: „Wierzyli właśnie tyle, ile było im potrzebne”. Nie należy przypuszczać, by w tej charakterystyce mieściła się ironia, przygana czy nawet protest. Taki stosunek posiada- a afirmację w postawie samego de Greeffa jako autora omawianej powieści. Ujawnia się to i w komentarzu odautor skim, i w sposobie, w jaki podaje on nam i na-świetla refleksje i praktyki religij- ne swych bohaterów bądź też ich stosunek do tych praktyk. Z wiel- łu, niemal identycznie brzmiących, miejsc powieści wysnuć można wniosek, że dla autora religia nie tyle jest wiarą w osobowego Boga (a chodzi tu — trzeba to powie- dzić — o katolicyzm), ile rodza- jem asekuracji przed „wszystkimi rozproszonymi po świecie zlymi mocami”. Praktyki religijne, np. modli- twa, służą dla wyjednania „la- skawszych wyroków przeznaczenia”, dla „rozbrojenia tych tajemniczych, złowrogich sil, owych bosów, które ludziom zardzewszają”.

Ten moment dominuje w religij- nej tematyce powieści de Greeffa. A choć pokazuje on ludzi, w których życiu religia zajmuje o wiele więcej miejsca, nawet takich, dla których stanowi ona najważniejszą sprawę (by wymienić występujące w powieści postacie kapłanów), ale i wtedy uwaga de Greeffa skupia się wyłącznie na aspekcie moral- nym.

Tak więc stosunek autora „Noc jest moim światłem” do sfery religijnej można określić jako oscy- lującą między postawą magiczno- utilitarną i irracjonalnym witaliz- mem („Żyć trwa mimo nocy, idzie z jednego świata w drugi, wszyst- ko ogarna swą potęgą, zmusza do ugięcia kolan, wysłuchuje wszelkich prób”) a interpretacją religii jako czynnika moralnego. Religia jako autonomiczna sfera nadprzyrodzo- ności nie istnieje w powieści de Greeffa, lub pominięta zostaje mil- czeniem. (Milczenie to nie stanowi jednak postaci czci dla niezgłębio- nych tajemnic). Istnieje w niej *homo ethicus* — nie istnieje zaś we właściwym tego słowa znacze- nu *homo religiosus* (bo nawet w przeżyciach siostry Colette religia zredukowana została do kategorii etycznych).

Czyż więc można nazwać książkę de Greeffa powieścią katolicką? Oczywiście, nie. Bo przede wszyst- kim nie daje ona uniwersalistycz- nej, katolickiej wizji życia, bo nie ukazuje istotnych elementów katolickich przeżyć religijnych, takich jak grzech i łaska.

Wiążę się z tym to, co można by określić jako kłeskę literacką de Greeffa: sugeruje on nam wyczer- pującą i substancjalną wizję czło- wieka i świata, podczas gdy w istocie wizja ta sprowadza się niemal wyłącznie do aspektu etycznego, który choć niezmiernie ważny i ukaza- ny w sposób odkrywczy, jest przecież tylko jednym spośród wiel- łu, wielu innych. Analiza pomoże w ujawnieniu pewnych elementów zjawiska, ale żadna analiza nie ujawni istoty życia i istoty czło- wieka. Ta możliwość mieści się wy- łącznie w zakresie środków, jakim rozporządza sztuka, zwłaszcza wielka sztuka pisarska. Otóż postacie stworzone przez wielkich pisarzy są wielowymiarowe. Właściwa ich istota wymyka się wszelkim ujęciom dyskursywno-analitycznym. Nawet ich tworcy są wobec niej bezzadni.

Tymczasem de Greeff, chcąc wszystko powiedzieć o swoich postaciach, zubożył je, ogolił z ta- jemnic. Swoje cząstkowe widzenie świata i ludzi wziął za widzenie pełne, całkowite, zasugerowany być może w dużym stopniu metodami i osiągnięciami swej specjalności naukowej.

Rzecz jasna, nie przekreśla to wcale znaczenia książki de Greeffa, o którym mówiliśmy poprzednio. Objęta wadami i naiwnościami, która powieść, chaotyczna, nie mie- szcząca się w ramach literatury katolickiej sensu *stricto*, nie zawsze przekonująca psychologicznie i in- telektualnie — przynosi jednak prawdy głęboko ludzkie, prawdy, nad którymi „trzeba się pochylić”, nie tylko w czasie lektury. Dr Etienne de Greeff swą powieścią „Noc jest moim światłem” zasłużył się sprawie zagrożonej na Zachodzie humanizmu. Opierając się bowiem na doświadczeniach reprezentowa- nej przez siebie wiedzy dokonał re- habilitacji obowiązku moralnego. Ukazał realność i obiektywność su- mienia, jego doniosłość jako siły, bez której nie ma mowy o osobowości, o prawdziwym człowieczeństwie.

Wreszcie rzucił właściwe światło na stosunek człowieka do drugiego człowieka i stawiając postulat mi-łości bliźniego jako postawy osob- ąstego zaangażowania w jego świat, jako postawy oddania, opieki i u- męajung: jego szczerą, bezinteres-owną miłość poezji.

Umilkł przedwcześnie, jeszcze w pełni sił twórczych. Warto pomy-śleć o tym, żeby udostępnić co naj- żej w jak najstaranniej ułożonym wyborze jego rozrzucone po czaso- pismach lub pozostałe dotychczas w rękopisie wiersze. Taki postę- pomy tom byłby najpiękniejszą form- ą hołdu, jaki złożyć możemy twór- ą, pocie, szczeremu miłośnikowi pię- kna.

Aleksander Rogalski

* Etienne de Greeff: „Noc jest moim światłem”. Przekład Zofii Miłwskiej. Wydawnictwo Pax, Warszawa 1964, s. 446.

ALEKSANDER ROGALSKI

W POSZUKIWANIU MIŁOŚCI AUTENTYCZNEJ

zys duchowy: objędu Elżbiety zmu- sza ich do rozprawienia się z sobą samym, do dokonania bezlitosnej oceny własnego dotychczasowego życia.

Jakże dziwne i niesamowite jest to, co przeżywa w swych mając- echniach obłąkana Elżbieta! Jakże okrutne, brutalne, obrażające i nie- doręczne są jej czyny! A przecież w tym szaleństwie istnieje głę- boka logika. Posiada ono swój utaj- ony sens, który rzuca pomost między świat objędu a świat moralny ludzi zdrowych, związanych z czło- wiekiem chorym. Rozszyfrowanie ko- szmaru objędu i ujawnienie jego ludzkiej treści — treści ujmowanej w kategoriach etycznych — stan- owi jedno z największych osiągnięć de Greeffa w tej książce. „Noc jest moim światłem” przywraca czło- wiekowi silny kościół moralny, sta- wia go w obliczu odpowiedzialno- ści za drugiego człowieka, osada na fundamente jasnych i zdecydo- wanych nakazów etycznych. Doko- nyte zaś tego nie opierając się by- najmniej na jakichś apriorycznych przesłankach czy założeniach reli- gijskich, lecz wyłącznie wychodząc z doświadczeń konkretnych, wy- snuwając wniosek z dociekań nad życiem psychicznym człowieka.

C O odkrywa de Greeff u swo- ich bohaterów? Przede wszyst-

niej, choć niczego niewłaściwego w swym dotychczasowym postępowaniu wobec żony dostrzec nie potra- fi. Uczucia tego nie są w stanie usunąć żadne przesłanki rozumowe. W duszy jego toczy się dramat: ośrodkim jego jest świadomość, że to on stanowi przyczynę nieszczę- ścia Elżbiety. I badając siebie od- najduje realne dowody swej winy: choroba żony odsoniła w jego wła- snej psychice siły i czynniki, któ- rych istnienie dawniej nawet nie przeczuwał.

Albo biczem samooskarżenia sma- gani są również inni ludzie u de Greeffa. I nie musi się to wiązać bezpośrednio z chorobą Elżbiety. Dzieje się tak zwłaszcza wtedy, gdy spotyka ich, zdawałoby się, całko- wicie niezastępowana jakaś przyko- łub niewątpliwie krzywda. Widać to szczególnie na przykładzie sio- stry Colette. Pragnie ona jednego tylko: całkowitego oddania się służ- bie dla chorych i nieszczęśliwych, a zmagać się musi z bezduśnością, okrucieństwem i obrzydliwym za- klamaniem, cechującym jej władzę zakonną. A jednak siostra Colette „w tajemnicach swej duszy” odnaj- duje coś, co „uzasadniało wszyst- kie przykrości, jakie ją spotykały, nawet brak sprawiedliwości”. Mi- mo wszelkie wysiłki „nie udawało się jej wyrzucić z serca bolsnego

wierną. Nie ma nic wspólnego z bezosobową miłością, „ogarniającą wszystkich ludzi”. I tylko dzięki temu drugi człowiek staje się dla nas wartością, że kochamy go dla niego samego. I tylko dzięki takiej miłości, miłości autentycznej, wy- chodzimy z pośsepnego kręgu samo- ności, w której nęka nas niezado- wolenie z życia i niezadowolnienie z siebie samego. Bo przecież w grun- cie rzeczy jesteśmy wszyscy z sobą najściślejsz powiązani i między na- szym zaniebaniem, naszym przy- wieniem, nieraz najbardziej ukry- tym, a łosem i cierpieniem naszych bliźnich istnieje organiczny zwią- zek. Tylko przez nieustanne oczy- szczanie naszego stosunku do dru- giego człowieka z przymieszek egoizmu, z objędu, fałszu, pychy, z żądy wywyższenia się i władzy — stosunek ten staje się dobro- czynny.

D LA wszystkich postaci de Greeffa religia stanowi w więk- szym lub mniejszym stopniu żywą wartość. Obracają się one w jej orbicie. Ale jak się przedstawia ich wiara?

Maurycy: „na swój sposób wie- rzył w Boga, a może raczej nie pod- dawał w wątpliwość Jego istnie- nia, ale żadnych zdecydowanych przekonań nie miał”. Van Meenen jest bardziej zaangażowany osobi-

przejmował poeta nie tylko matery- jał leksykalny, lecz także struk- turę składniową zdania, a nawet metodę metaforyzacji obrazu po- etycznego:

Przystanął nad strugą, co jak lot się słońca
na płaskim czole ziemi
fantastycznie modny.

W liryce religijnej dawał się czasem ponosić patosowi wzniosłej de- klamacji, ale na ogół pozostawał wierny zasadzie języka nazywające- go dokładnie i jednoznacznie rze- czy i zdarzenia. Kierował poetą w

W tym wypadku trafny instynkt re- alisty osuszający przed niebezpie- czeństwem skonwencjonalizowania mowy poetyckiej, odwierania jej od mowy potocznej będącej najw- ężniejszym z narzędzi międzyludzkie- go kontaktu.

Konkretność tworzywa i auten- tyzm języka decydują o komunika- tywności poezji Pietkuta. Nie tylko jednak one. Poezja ta jest niemal zupełnie wolna od lirycznego ego- centryzmu, traktującego świat ze- wnetrzny jako lustro, w którym się przegląda autorskie „ja”. Nawet w lirykach religijnych, z natury najbardziej osobistych, Pietkut bar- dzo rzadko przemawia we własnym tylko imieniu. Czuje się zawsze wy- raźicielem zbiorowości i to nie ty- ko zbiorowości ludzkiej: w pięknej „Modlitwie kwiatów o skazę” poeta przemawia współ z chórem udręczonych suszą roślin:

— Któryś za kwiaty cierpiął
— Któryś za kwiatów się narodził...

Piekut posiadał bardzo trafny i bardzo wyczułony instynkt poety- cki. Był jednym z najbogaciej pod- tym względem uposażonych przez naturę poetów naszego pokolenia, ale cechowała go też typowa dla wszystkich artystów tworzących spontanicznie, pod bezpośrednim działaniem inspiracji, nieporadność w cyzelaturze wiersza. Nie umiał (a zapewne i nie chciał) stać się dobrym literatem, sprytnym kugla- rem efektu, majstreem technicznej wirtuozerii. Kochał poezję dla niej samej, a nie dla jakichkolwiek względów ubocznych. Dlatego też trwał beztrakośno możliwości, które ktoś obrotniejszy, choć nawet z mniejszym talentem, potrafiłby do- skonale skapitalizować. Ale to wła- śnie było w Piekucie *homo ethicus* — u- męajung: jego szczerą, bezinteres-owną miłość poezji.

Wiem natomiast, że dawno już półmetek przebiegł...
Daję wam, przyjacieli, moje dziwne wiersze —
zapowiedziane słońcem, a zrodzone z burzy.

KAZIMIERZ PIEKUT

BURZA

Strasz mnie błyskawice, które niebo czarne
tną złotymi szablami w poprzek i pionowo.
Zdaje mi się, że wyrzekł niepotrzebne słowo
i wiatry myśli moje rozniosły na marne.

Strasz mnie gromoty, kiedy są jak ryk stu wołów
za siedmioma górami na głodnym pastwisku.
Na gzymsie czarnej chmury piorun się połiznął
I spadł za moim oknem jak ognisty gołąb,

któremu deszcz pośpiesznie zgasił płomień w piórach.
Smiało nadbiega pamięć upadków i wlotów
i powstaje wspomnieniem jak Feniks z popiołów
niepełnionych nadziei zadawnionym uraz.

W takiej chwili samotności cięży mi najbardziej
jako dżdżu zimne krople lipcowym obłokom.
Słyszę szurgot czyichś stóp — czas przyspiesza kroku
— postukujący laską zawsze rzęski starzec

nie wiem o ile stałań drogę mi przedłuży.

Wiem natomiast, że dawno już półmetek przebiegł...
Daję wam, przyjacieli, moje dziwne wiersze —
zapowiedziane słońcem, a zrodzone z burzy.

MOJA MATKA

Gdy był mały, mówiła mi mama,
że bywała sny, co bardzo bolał.
Lecz teó prawdy nie umiałem pojąć —
mowa starszych ła dzieci jest trudna.

Gdy był mały, mówiła mi mama,
że w czas suszy trzeba współczuć trawom,
że nie wolno krzywdzić nawet wrony
choć porywa kaczęta znad stawu.

Gdy był mały, mówiła mi mama,
że jest miłość, co wszystko zwycięża.
Ze się cięzy dobre serce Boże,
kiedy człowiek szanuje człowieka.

Gdy był mały, mówiła mi mama,
że w świat wiodą niezliczone drogi.
Lecz jedną wskazuje mi ta ręka,
w której dłoni tkwi gwóźdź zardzewiały.

Z PUNKTU WIDZENIA

O dyskusji, która w trzecim czy czwartym miesiącu swojego trwania nie potrafiła wyłonić z siebie wniosku podpisanego przez co najmniej dwóch dyskutantów, o takiej dyskusji można powiedzieć, że przypomina Ligę Narodów, która zbierała się na piętnaste posiedzenie celem ustalenia agresora w konflikcie włosko-abijskim w chwili, kiedy marszałek Badoglio szturmował Addis-Ababę.

Stwierdzam, że w obecnej dyskusji o młodzieży od „Zycia Warszawy” po „Przełęcz Kulturalną” nie zgłoszono dwóch jednakowych wniosków. W ogóle, wyjąwszy wniosek Pawła Jasienicy, by traktować chuli-gaństwo jako przestępstwo polityczne — nie było wniosków, były tylko mniej lub więcej trafne, mniej lub więcej głębsze próby opisu zjawiska, próby analizy problemu. Dyskutanci wciąż jeszcze zastanawiają się, czy chuli-gaństwo stanowi produkt szczytkowy kapitalizmu, czy produkt uboczny koniecznych przemian społecznych.

Obok tamtych wypowiedzi, może docieklawych, może potrzebnych ale na pewno nie twórczych czytaliśmy konkretne propozycje Salomona Łastika w „Nowej Kulturze”, które dotyczyły jednak fragmentu zagadnienia, sprawy specjalnej i poniekąd marginesowej, tj. zakładów poprawczych. I ciekawie, że właśnie na gruncie tego marginesu kielkuje coś na kształt dyskusji, gdyż do wypowiedzi Salomona Łastika nawiązuje Anna Morawska w swoim artykule opublikowanym w „Tygodniku Powszechnym” pt. „Jedynacy naszego kraju”. Z tą wypowiedzią pragnę polemizować. Polemizuję dlatego, że odważny i wnikliwy artykuł Anny Morawskiej może nasunąć czytelnikom błędne sugestie. Autorka wprowadza doń pojęcie „jedynactwa”, określając je jako „mniej lub więcej sprzeciwianą świadomość własnej, uprzywilejowanej sytuacji, wyprzedzającą w rozwoju dziecka poczucie odpowiedzialności”. W tym pojęciu „jedynactwa” upatruje p. Morawska źródło młodocianej przestępczości. Dalej ciągnie rozumowania autorki — porównując się zresztą na ogół z poglądami p. Łastika w „Nowej Kulturze” — głosi, że metody wychowawcze w domach dziecka (p. Łastik pisze o sądach dla nieletnich i domach poprawczych) grzeszą niekonsekwencją: najpierw postępują się z wychowankiem zbyt łagodnie, żeby po popełnieniu przestępstwa, które podpada pod kodeks karny stosować ciężką karę domu poprawczego, co na ogół spowoduje skutki przeciwnie do zamierzonego, tj. prowadzi do recydywy, oznacza dożgonny mariaż z przestępczością. Cytowane przez autorkę

odezwania wychowanków domów dziecka są znamienne: dziewczyna, która przynosi świadectwo z osmioma dwójami oświadcza pogodnie: „Oni nie mi nie robią. Na ulicę mnie wyrzuci nie woino. Za dwoje odpowiada kierownik. A nasza pani nie ma do mnie podejścia”.

Wnioski te, choć nie pocieszające, są zapewne prawdziwe. Zastrzeżenia budzi natomiast sugestia, jakoby ten stan rzeczy był prostą konsekwencją systemu wychowawczego w domach dziecka. P. Morawska powołuje się na dane z artykułu Salomona Łastika, z których wynika, że większość młodocianych przestępców to sieroty i półsieroty, zatem te dzieci, które wyszły spod opieki domów dziecka. Zatem w założeniach wychowawczych tych domów tkwi coś, co spowodowało fatalne skutki. Co? Zastanawia się autorka i odpowiada: Właśnie owo jedynactwo, owa świadomość uprzywilejowanej sytuacji, owo zmniejszone poczucie odpowiedzialności. Młodzież wychowuje się tam w warunkach — w pewnym sensie — ciepłarnianych, inspektowych, nienaturalnych. O tej godzinie obiad, o tej porze do szkoły, na komendę jeść, na gwizdek się bawic. Nie do pomyślenia, żeby dziecku mogło braknąć bułki lub czystej koszuli. A w „życiu”, tym „prawdziwym”, rodzinnym — bywa tak, że brakuje. Nie do pomyślenia, żeby dziecko mogło nie przejść do następnej klasy. A nad wszystkim innym dziecni ta groźba wisi. Rezultaty? Właśnie takie. Poki ucho się nie urwie poty dźban wodę nosi, a potem skandal, zebranie, rezolucja, dom poprawczy, recydywa, więzienie.

Z PUNKTU WIDZENIA KLATKI SCHODOWEJ

A ja odpowiadam: A czy w „życiu”, tym „rodzinnym” — bywa lepiej? W pewnym procencie rodzin jest lepiej. W jakim? Nie wiem i nikt nie wie. Ale w pewnym procencie rodzin jest znacznie gorzej. Jakim? Nie wiem i nikt nie wie, ale nie ma wątpliwości, że w znacznym. Nie trzeba konferencji, statystyk. Wystarczy stanąć na dostępnym dla każdego punkcie obserwacyjnym, jakim jest klatka schodowa przeciętnej kamienicy. I posłuchać tych budujących dialogów, które dobiegają zza drzwi: — Ty świni! Ty bandyto! Czeka! Już się ojciec z tobą policzy! Gdzie byłeś do tej pory? (odgłosy bicia) Ty mi będziesz w żywe oczy łągi! (wrzaski).

To jeszcze nie. Rozmowa na wysokim poziomie pedagogicznym. Bywa nierównie gorzej. Przeciętna klatka schodowa od rana do nocy rozbrzmiewa krzykami matek, płaczem dzieci, trzaskiem razów, przekleństwami, wymyslaniami na szko-

łę, klótniami rodziców, czkawką pijanych ojców, rykami dorastającej młodzieży. To nie to, że ktoś, gdzieś, kiedyś. Codziennie. Regularnie. Z zasady. Pod nosem komitetu blokowego. Na oczach dzieci.

Domy dziecka przeznaczone są zasadniczo dla sierot, półsierot i tzw. sierot społecznych. Pytam kierowniczkę, co to są sieroty społeczne. To są dzieci, pada odpowiedź, których wychowanie odebrane zostało rodzicom przez sąd, np. w wypadku, gdy ojciec jest pijakiem a matka prostytutką...

Gdy ojciec jest pijakiem... A kiedy nie jest? Jaki procent ojców nigdy się nie upija? 20? 50? Będę optymistą: 70? A reszta? A dzieci na to patrzą...

Gdy matka jest prostytutką... Nie ma prostytutki, dobrze. Ale matki „puszczalskie”? Jakich procent? 10? Wystarczy...

I gdy uświadomimy sobie tę zastraszającą statystykę, czy nie będziemy skłonni przyznać racji wychowawczyń domów dziecka, która powiedziała mi, wahaając i niepewnie, obawiając się może mojej gwałtownej reakcji: Wydaje mi się czasem, że nasze dzieci wygrały na swoich sierotach...

I mnie się tak zdaje.

ZAŁOŻENIE WYCHOWAWCZE

Zwiedziłem nie jeden dom dziecka i nie dwa, zapoznałem się ze skromną literaturą z tego zakresu. Nie mam zamiaru referować tych spraw punkt po punkcie. Wybieram niektóre z zagadnień, najważniejsze albo te, które mogą budzić wątpliwości.

Zaczynamy od podstaw, od założeń wychowawczych domów dziecka. Jakież one są?

W artykule Franciszka Pawuły („Dom Dziecka” Nr. 3 (54) czytamy: „... opieka nad dzieckiem posiada następujące zasadnicze cechy:

1. Dążność do wszechstronności, co wyraża się w tym, że poszczególne rodzaje i formy opieki nad dzieckiem i pomocy dzieciom, bez względu na główny cel, któremu służą, obejmują również inne elementy mające przyczynić się do zapewnienia dziecku wszechstronnego rozwoju.

2. Integralne powiązanie spraw profilaktyczno-zdrowotnych z wychowawczymi.

3. Ciągłość — od żłobka poprzez formy opieki dla dzieci i młodzieży.

4. Zróżnicowanie form opieki w zależności od wieku dzieci, np. żłobki i domy małego dziecka dla niemowląt i dzieci w wieku przed-

szkolnym, domy dziecka, domy młodzieży dla dzieci i młodzieży.

5. Dążność do stopniowego upowszechniania danej formy opieki w odniesieniu do tej kategorii dzieci, dla której dany rodzaj opieki jest przeznaczony”.

Statut zaś domów dziecka głosi: § 2) „Zadaniem domów dziecka jest zastąpić wychowankom dom rodzinny, wychować ich na ludzi pełnowartościowych, oddanych Ludowej Ojczyźnie i sprawie socjalizmu, przygotować ich do samodzielnego życia przez zapewnienie im wszechstronnej opieki i odpowiedniego wykształcenia oraz przez stopniowe włączanie ich do procesu produkcji”.

Tyle mówi statut. Czy jest on wykonywany? Nasze pokolenie nie darzy zbytnim zaufaniem statutów. Odpowiadam: O realizacji pomówiemy za chwilę. Na razie stwierdzamy jedno: domy dziecka; mają założenia wychowawcze. Domy rodzinne najczęściej ich nie mają. Oburzenie? A jednak...

To, że rodzice uważają się za katolików lub marksistów nie znaczy jeszcze, że mają założenia wychowawcze. Przeciętnie wychowanie w naszym społeczeństwie jest dorywcze, okolicznościowe, zatem — nie jest wychowaniem lecz sumą reakcji rodziców na przyrodzono zdarzające się sytuacje. Dokonajmy w wyobraźni eksperymentu: spytajmy dwadzieścia matek mieszkających w naszym najbliższym sąsiedztwie, jakimi wytycznymi kierują się wychowując swe dzieci. Odpowiedź ktoś: niepiśmienna babcinka może lepiej wychowywać swe dziecko niż profesor akademii pedagogicznej. Odpowiedź z kolei: Analogicznie rozumując, dziecko, które urodziło się w wilgotnej suterenie może przeżyć dziecko zamożnego lekarza. Żaden argument przeciw higienie.

Personel domów dziecka jest fachowy. W Domu im. H. Sawickiej w Warszawie połowa wychowawców ukończyła wyższe studia pedagogiczne, połowa — średnie. Wychowanie nie jest tylko sprawą instytutu i szlachetności uczuć. Jest trudną dyscypliną fachową. Dlaczego ma być łatwiej wychowywać dzieci niż szepczyć im ospe? Jeżeli pielęgniarz musi przejść przez odpowiednie szkolenie, to jakżeż może obyć się bez niego wychowawca?

Rodzice nie kierują się na ogół założeniami wychowawczymi. Po pierwsze dlatego, że nie rozumieją ich potrzeby. Po drugie dlatego, że nie mają czasu. Pracują zawodowo.

Dziecko widują przy posiłkach i w niedziele. Gdzie przebywało ono tymczasem, co czytało, z kim rozmawiało, jak ma temperament, jakie zainteresowania, jakie wątpliwości? A przecież ideologia to nie koniec, to dopiero początek wychowania. Którzy rodzice interesują się problemami psychologii, pedagogii, którzy przeczytali Makarenkę, Korczaka, Adлера, Freuda, Vandelwe’a?

REALIZACJA ZAŁOŻEŃ

A domy dziecka mają założenia wychowawcze. A domy dziecka realizują te założenia. Oto kilka przykładów:

1. Stopniowe włączanie do procesu produkcji poprzez kontakt z środowiskiem. Wychowankowie domów dziecka nie żyją w oderwaniu od otoczenia. Polska Agencja Robotnicza opiekuje się np. Domem na Okęciu. Dzieci odwiedzają drukarnię, pracownicy odwiedzają dzieci. Odbývają się wspólne imprezy, istnieje pomoc materialna i moralna. Jeżeli pracownicy PAR ofiarowali dzieciom m. in. kosztowny aparat fotograficzny to znak, że interesują się Domem w sposób realny. Komitet opiekuńczy dostarcza niekiedy opiekunów sądowych. Ale nie to jest najważniejsze. Najważniejsza jest kształtująca się w umysłach dziecięcych świadomość związku z zakładem pracy, z pracą, z produkcją. Świadomość, że do broby nie spada jak manna, że jest wynikiem czystego trudu.

2. Poziom życia wychowanków powinien według statutu odpowiadać stopie życiowej przeciętnej rodziny pracującej, zważając natomiast należy tendencje do luksusu. Slusne założenie? Czyba slusne. Realizacja? Trudno opowiedzieć, to trzeba zobaczyć. Albo uwierzyć na słowo, że dzieci mają dobrobyt. W jednym, mieszkaniu, nauce, rozrywkach. Luksusu nie ma. Ale są słodczyce, zabawki, wyjazdy nad morze. Sałe lśnią od czystości i urzekają estetycznym wyglądem, morze... za bardzo, może aż w sposób sanatoryjny.

A jakie jest przygotowanie rodziców w zakresie elementarnych pojęć higieny fizycznej i psychicznej? Jakie zagęszczenie mieszkańców na izbę w Warszawie, Krakowie, Poznaniu? Ile dzieci spya, ile nie spya w oddzielnych łóżkach? Jak wygląda korzystanie ze sportu? Jak przeprowadza się uświadamianie seksualne?

3. Kary. Sprawa niestety bardzo ważna. Regulamin przewiduje trzy typy kar: pozbawienie rozrywki,

upomnienie różnego stopnia i rodzaju oraz izolację. Trudno to nazwać regulaminowym brakiem sankcji. Ze są one natury moralnej, nie fizycznej? To chyba nie zarzut.

W jednym z domów spotkałem chłopca na izolacie. Nie próbowało go przede mną ukrywać. Nie był związany ani nawet zamknięty na klucz, przebywał samotnie w pokoju i czytał książki. Okazało się, że jest to poważny, graniczący z patologią przypadek wychowanka o tendencji homoerotycznych i być może sadystycznych. Chłopca skierowano potem do poradni zdrowia psychicznego. Nie wiem, jakie były dalsze jego losy, lecz pytam: jakie byłyby w przeciętnym domu rodzinnym?

W innym domu dziecka opowiedziano mi o przypadku kleptomanii, a może kradzieży. Nad uposażoną dziewczynką roztoczyli — bez jej wiedzy — opiekę koleżanki z aktywu ZMP-owskiego i doprowadziły do tego, że można je było powierzyć odpowiedzialne stanowisko w samorządzie.

A jak się załaziła ta sprawa w rodzinach? Groźby, „robiecie wstydu” wobec sąsiadek, urczykne wyklinalia są łagodniejszymi spośród stosowanych powszechnie środków zaradczych.

4. Stosunek do własności osobistej. Wychowankowie mogą posiadać pieniądze w depozycie. Domy nie wypłacają im drobnych sum kieszonkowych, lecz dają im możliwość zarobkowania. Np. dzieci z Okęcia zarabiają oprawianiem książek. Intrygatorstwo jest na wysokim poziomie.

I znów: a jak bywa w rodzinach? Jedne dzieci nie oglądają nigdy pieniędzy, chyba że zdołają je nielegalnie. Inne otrzymują je garściami i wydają bez niczyjej kontroli.

USAMODZIELNIANIE...

„...jest najtrudniejszym może z zagadnień domów dziecka i zarazem problemem, czy domy zasługują na to zaszczytne miano, czy nie są przypadkiem przytulakami.

Statut przewiduje, że dom obowiązany jest dać wychowankowi wykształcenie przynajmniej w zakresie szkoły podstawowej. Jak to wygląda w praktyce?

Cyfry mówią.

Dom dziecka na Okęciu wychowuje 117 dzieci. Z tej globalnej liczby 22 kształcą się w internatach poza Warszawą, 11, tj. blisko 10% przebywa w sanatoriach i prewen-

MAREK ANTONI WASILEWSKI

Penicylina na chuli-gaństwo

PROBLEM młodzieży łączy się u nas nieodłącznie z dwiema postaciami stałymi współczesnej komedii dell’arte: z bikiniarzem i chuli-ganem. Nie ludźmy się, że sfabrykowaliśmy w naszej epoce jakiegoś nowego zagadnienie tego typu. Gdyby dane nam było wejrzeć dokładniej jeszcze niż to możliwe na dzisiejszym etapie egipologii, w dzieje Egiptu faraonów, ręczę głową (nie znaczy to, że nisko sobie ja cenie), że pr. lemm chuli-gana występował tam również, aczkolwiek nosił na pewno inną nazwę. Jednakże zagadnienie chuli-gaństwa nie jest przecież zagadnieniem nomenklatury. Samo rozburmianienie sięgające od niepamięci aż do tramwaju aż do morderstwa znane było od... od czasów wprowadzenia w życie tramwaju konnego do dziś. Jedynym nowum całej kwestii jest społeczny aspekt zagadnienia. Dawniej pisało się i powiadało, że X czy Y wybił syby, obrzucili przechodniów zgniłymi pomidorami, czy wrzeszcząc wyrwał torebkę jakiej niewieście. Dziś społeczeństwo nie przejmując się nazbyt kwestią czy X rzucił pomidora, a Y wyrwał torebkę, czy też było na odwrót. Zagadnieniem odpowiedzialności osobistej zajmują się władze sądowe. Społeczeństwo zelektryzowane jest faktami, nie zaś nazwiskami sprawców, zelektryzowane jest zjawiskiem i jego zasięgiem. Społeczeństwo woła o przeciwdziałanie, o terapię.

I jest w tym wołaniu coś z Aidy, kiedy to wojska śpiewają bardzo długo; idźmy, ruszajmy, wyruszajmy, dalej w bó!... i śpiewają tak i śpiewają, stojąc na scenie.

Dyskusja nad tym problemem odbywa się na wszystkich szczeblach i odcinkach: prasa, radio, kino, brak jeszcze tylko telewizji... Wydaje mi się jednakże, że większość dyskutantów ślizga się po powierzchni zagadnienia i powiada: Czyrak? Zalepmy go plasterem!

Nie, mój mi! Po pierwsze czyraków nie zalepia się plasterami, a po drugie, aby go wyleczyć, trzeba wiedzieć, że podłożę choroby występującej widocznie i napowierzchniowo

jest głębsze — awitaminoza. Problem chuli-gaństwa ma również swoje podłożo swoistej awitaminozy społecznej i terapia musi iść w kierunku nie oddziaływania na sam rękopieć, ale przede wszystkim na organizm, na jego system krążenia i wydzielenia.

Cacy, cacy — powiecie — dość tych analogii, gadaj pan zdrów o co panu chodzi.

Bardzo być może, zdziwił się i poczuja dotknięci ci, których za chwilę wymienię jako potencjalnych i zapewne nieświadomych twórców chuli-gaństwa. Jedną z zasadniczych przyczyn tej choroby społecznej jest brak domu. Młodzież nie ma domu i dlatego schodzi na psy. Nie ma domu w znaczeniu zarówno dosłownym jak i atmosfery domowej, tej atmosfery, w której wzrastają, kształtują się i którą przepaja się młoda dojrzewająca jednostka.

Problem chuli-gaństwa jest wprost proporcjonalny, jeśli tak powiemy, do problemu warunków mieszkaniowych. Młodzież mając jedynie kąt z łożkiem i dach nad głową ciągnie na ulicę. Rzecz prosta, że jakikolwiek czynnik kontroli jest na ulicy o stokroć mniejszy niż byłby w domu, w którym jest czy w każdej chwili może się zjawiać któregoś z rodziców. Czas na ulicy należy czymś wypełnić. Człowiek jest homo socius, a więc niezbędne jest stworzenie sobie mniejszej, czy większej grupki rówieśników. Przy sprzyjających warunkach taka grupka może już terminologicznie być określona jako szajka lub banda. Atrakcyjna strona rozrywki kulturalnych: kino, teatr, a nawet lepsze spotkania sportowe, czy bardziej frapujące występy artystyczne są dla tej młodzieży zamknięte, a co najmniej utrudnione tak, że trzeba szczęścia, czy stosunków, lub pieniędzy (te wszak otwora droga wszędzie), aby z nich skorzystać. Rozumie, że brzmio to paradoksalnie, ale weźmy pod uwagę wysokie ceny teatru, obłożone przez spekulantów i niespekulantów kin, system nieumiejętnego rozprowadzania biletów na atrakcyjne spotkania sportowe, czy występy artystyczne,

a mamy jasny obraz sytuacji. Pozostają tej młodzieży resztki kultury i nudne dla niej odczyty i pogadanki, bądź też nawet i niekiedy ciekawe, ale interesujące raczej wąskie grono specjalistów.

Chcemy dać rozrywkę młodzieży zatykając ją tymi „resztkami” i myślimy, że nam się to uda. Nie, nie uda się. Zwykli młodości jest jak górski potok, który potrafi znaleźć sobie własne koryto biegu, niestety i niszczycielskie. Wyobraźmy sobie teraz, że ciężar wolnego czasu zostanie przeniesiony z ulicy na dom, dom, w którym jest miejsce dla młodzieży, w którym jest ją czym przyjąć i jak zabawić, że rodzice zajął raz czy drugi do grona młodzieży, nie krępując ich zbyt długo własnym towarzystwem, ale oglądając charakter zabawy i orientując się jak sprawy się toczą.

Powiadamy sobie szczerze: co zrobili nasi architekci i ich władze nadzędne, aby stworzyć takie właśnie możliwości rodzinom w nowych domach. W nowych blokach nadal mieszka po kilka rodzin w jednym mieszkaniu korzystając wspólnie z kuchni i urządzeń sanitarnych. Już samo to stwarza potencjalną atmosferę zadrzańien i gdy jedni chcą się bawic, drudzy na pewno zechcą spać i vice versa.

Zastanówmy się nad kwestią, że nowe budownictwo mieszkaniowe nosi w sobie nadal cechy przewoizroczności, co jest zupełnym absurdem. Rodziny otrzymujące nowe mieszkania powinny otrzymywać je tak zbudowane i tak zaplanowane, by mogły czuć się tam jak u siebie w domu, aby miały miejsce na to, aby urodzić „ponadplanowe” dzieci, aby dzieciom tym zapewnić warunki niezbędne do prawidłowego rozwoju.

I zwolna, zwolna zbliżamy się do największej „herezji” niniejszego artykułu. Powiadam: powodem wzrostu i wylęgu chuli-gaństwa jest brak życia salonowego!

No, wyobrażam sobie, że po tych słowach z miejsca roznieziony bym został na szablach, gdybym wygłosił je na jakims odczytzie i gdyby stu-

chacze wzorem dawnych wieków nosił szable przy pasach. Na szczęście korzystając z prasy zdołam się wytłumaczyć, że salon, o którym mówię nie miałby nieomal nic wspólnego z salonom burżuazji-mieszczan, a byłby (o grozo!) salonom socjalistycznym, lub jeśli ktoś mi powie, że się zagalopowałem, to sprostuję — salonom budującym socjalizm i socjalistyczną kulturę.

Co rozumiem przez taki salon? Przez taki salon rozumiem przyjemne urządzone pokój w domu, w którym można odbyć dyskusję towarzyską, można zatanżyć, zagrać w karty i można nauczyć się form towarzyskich nie zaklamanych i drobnomierzcańskich, ale nowych form, form epoki socjalistycznej, które każą szanować człowieka i jego poglądy, które oddają szacunek równoprawnionej kobiecie, które wrzeszczą jak lekcyjną poglądową humanistycznego stosunku człowieka do człowieka.

Skoro kulturę mamy dla wszystkich, dla narodu, to formy te i obyczaje mogą być kulturowane i znaleźć swój wyraz zarówno w domu profesora uniwersytetu, jak i górniaka, czy maszynisty parowozowego.

System oszczędności cegieł podyktował nam świetlice jako taki zbroń salonu socjalistyczny. I tu zaślazła pomyłka. Musimy pogodzić się z faktem: życie świetlicowe poniosło u nas porażkę, między innymi dlatego, że miały to być miejsca pełniące obowiązki tych brakujących we własnym domu miejsc rozrywki, dyskusji i wymiany poglądów.

Wielu ludzi uważało, że dom jest dodatkiem do świetlicy, niejako jej przybudówką. Był to błąd. To właśnie świetlica jest przybudówką do życia domowego i wyznaczanie jej innego miejsca, będzie oznaczało przyswajanie człowiekowi trzeciej nogi w miejsce utraconej ręki, licząc, że w ten sposób wychowa się go na wspaniałego szybkiego biegacza.

Różnica między spędzeniem wolnego czasu w domu, a w świetlicy jest kolosalna. Przede wszystkim w domu człowiek rozmawia, bawi się i przeżywa z tymi, z którymi chce przebywać, w świetlicy przeżywa z tymi, którzy są i jeśli towarzystwo mu nie odpowiada, co najwyżej może wyjść. W domu gospodarz i goście rozmawiają o czym chcą, jeśli nie mają ochoty na fokstrota, nastawiają płytę z kujawakiem, jeśli chcą tańczyć sambe, tańczą sambe. W świetlicy podlegają mniej lub więcej dyrektywom ogólnym, jed-

nym słowem są skrępowani. Nie znaczący to oczywiście, by wobec tego świetlica straciła rację bytu i by jednostka kulturalna nie musiała uwieść podporządkować się w życiu społecznym, nawet na odcinku takim jakim jest zabawa. Znaczy to jednak, że budowanie świetlic nie rozwiązuje sprawy. Znaczy to, że władze kwaterunkowe powinny przyjąć jako rzecz normalną, że w każdym mieszkaniu jest jedna izba nie będąca ani kuchnią, ani łazienką, w której to izbie nikt nie spii. Dotąd jednak taki stan rzeczy wywoływał białą gorączkę po linii zarządzeń kwaterunkowych i dokwaterowania. Kwaterunek nie mógł przeboleć, że jest gdzieś izba, w której nikt nie spii, mógł natomiast przeboleć, że dziesiątki młodzieży spii na zabawach świetlicowych.

Spodziewano się u nas, że organizacje młodzieżowe staną się odtrutką i radykalnym lekarstwem na zahamowanie wybuchu plagi chuli-gaństwa. Nie stało się tak. Z podobnych przyczyn jak i z zagadnieniem świetlic. Wychowanie organizacyjne może być bowiem jedynie przybudówką do wychowania rodzicielskiego. A nie na odwrót. Szkoła, organizacja, zrzeszenie sportowe to wszystkie czynniki, które winny być pomocne rodzicom, które w harmonijnej współpracy winny wychowywać jednostkę, a przez to i społeczeństwo. Nieporozumienie kompetencyjne w tej sprawie doprowadziło do fatalnych wyników.

Zresztą nie bez winy są tu rodzice. Powiadali sobie częstokroć: Dzieci nasze są w organizacji młodzieżowej, po cóż więc mamy się trudzić z zagadnieniami wychowawczymi. Organizacja świetlna wychowa je bez nas. Okazało się, że nie. Ze organizacja nie zastąpi rodziców, ani rodzice nie zastąpią organizacji.

Prymat wychowania domowego i uznanie tego prymatu musi jednak pociągnąć za sobą dalsze skutki, dalsze przekształcenie w sposobie życia i bytowania rodziny. Mówię tu o sytuacji kobiety.

Tam, gdzie oboje rodzice pracują, prawidłowe wychowanie dziecka jest utrudnione, a przy liczniejszym potomstwie niemożliwe. Obecność matki i jej kierownicza rola w pierwszych latach życia dziecka nie dzie zastąpić ani żłobkami, ani przedszkolami, które znow mogą spełnić jedynie rolę pomocniczych przybudówek dla matki, z którą powinny harmonijnie współdziałać. Nie oznacza to rzecz prosta całkowitego wy-

cofania kobiety z pracy zarobkowej, oznacza jednak takie podniesienie stopy życiowej, które pozwoli ojcu na utrzymanie rodziny wyłącznie przy pomocy własnych zarobków, a kobiecie danie takiego wkładu opieki macierzyńskiej i zabiegów wychowawczych jakiego wymaga jej rodzina.

Tak więc dopuściliśmy się wrzeszcze pod podszewkę chuli-gaństwa. Jesteśmy w miejscu nadającym się do zastrzyku odpowiedniej witaminy, w miejscu dogodnym do rozpoczęcia prawidłowej terapii.

Świat nie zastępuje jej właściwie, nowe pokolenia chuliganierzy rosnać będą i działać z naszej własnej winy. Nie można bowiem ograniczyć się do walki z objawami schorzenia, lecz walczyć trzeba z samą chorobą. Jeśli jednak w założeniach naszych przynależny pry mat rodzicielskich wpływów, jeszcze jednym i to niezwykle ważnym czynnikiem jest oddziaływanie na samych rodziców.

Rodzice muszą stanowić wzór do naśladowania dla swych dzieci, wzór, który dziecko powinno z czasem prześcignąć. Tylko na tej drodze leży bowiem postęp społeczeństwa w dziedzinie życia moralnego i duchowego. Czy jednak tak jest? Oczywiście, że nie.

Dlatego też istnieje paląca potrzeba włączenia w ludzi przekonaną, że funkcja rodzicielska nie jest i! tylko aktem fizyologicznym, krótkotrwały i bez znaczenia na przyszłość, ale że macierzyństwo i ojcostwo jest stanem pocigającym za sobą długotrwałe obowiązki i odpowiedzialność przed społeczeństwem za wartość zrodzonego człowieka, za jego przydatność i przygotowanie do budowy nowego życia, za jego poziom moralny, za jego człowieczeństwo.

Wszystko to bardzo piękne — powie ktoś, ale to akcja długofalowa, a nam chuligani wybijają szczyby kamieniami, niszczą ogródki i biją ludzi w ciemnych ulicach. Szczególnie poszkodowani domagają się dożadnego zlikwidowania sprawy wybrków młodzieży.

I słusznie. Zrozumiemy jednak, że akcja musi się rozbić na dwie fazy. Podobnie jak z zastrzykiem penicyliny. Najpierw dokonajmy zastrzyku. Wówczas działanie bakteriościaniczne antybiotyku nie pozwoli rozmazać się bakteriom. Te, które żyją, pozabawione możliwości podziału, zostaną zlikwidowane przez białe ciała krwi, tych milicjanów ludzkiego ustroju. A więc najpierw za-

KTO MA RACJĘ?

...liach. Z pozostałych — 72 uczęszcza do szkoły podstawowej, 4 do szkoły ogólnokształcącej, reszta — do 14 szkół zawodowych różnego stopnia. Wychowankowie dysponują w wyborze zawodu znaczną swobodą, w wyborze zawodu znaczną swobodą, w wyborze zawodu znaczną swobodą.

Wreszcie przychodzi chwila usamodzielnienia. Dla wychowanków, którzy ukochali technikę — sprawa jest stosunkowo prosta: otrzymują przydział pracy, z reguły — łącznie z mieszkaniem. Gorzej jest z dziećmi, które ukochaly zasadniczo szkołę zawodową, tym bardziej, że są one młodsze, mają około 16 lat. Domy nie uważają się jednak za zwolnione od opieki z chwilą, gdy wychowankowie wyfruńdli spod ich skrzydeł. Dla studentów uniwersytetu przewidziane są specjalne dotacje odzieżowe (760 zł rocznie), statut zaś nakłada na kierownictwa obowiązek zapewnienia odchodzącej młodzieży mieszkania i pracy i zaopatrzenia jej w niezbędny ekwipunek. Jeżeli chodzi o stronę moralną, to na ogół nie trzeba jej obwarowywać przepisami, gdyż b. wychowankowie sami garną się do domów, korespondują z nimi, odwiedzają je, przywożą im „wnuki”.

SPRAWY CIEPLA I WNIOSKI

Dotęgamy do końca niniejszych rozważań. Musimy jeszcze zastanowić się nad bardzo poważnym, najważniejszym moze zagadnieniem, musimy rozważyć pewien możliwy zarzut. P. Morawska napisała w swoim artykule takie znamienne zdanie: (wychowankowie domów dziecka) „...pozbawieni byli przecież niezastąpionego ciepła i pewnej miękkości domu rodzinnego...”. Starałem się wykazać, że z tym „ciepłem” bywa różnie, że w ogromnym odsetku przypadków dom dziecka wykazuje większą dbałość o dobro dziecka niż przeciętny dom „z klątki schodowej”. Jest jednak oczywista, że w atmosferze rodziny jest coś niezastąpionego, coś, co nadaje życiu specjalną wartość i blask. Naturalnie, domy dziecka starają się i rocią co mogą, by zastąpić swym wychowankom dom rodzinny. Ale mogą go w najlepszym wypadku zastąpić. I nie tu nie pomoże 19 paragraf statutu głoszący, że przenoszenie dziecka z domu do domu wymaga specjalnych zatwierdzeń i dopuszczalne jest jedynie w interesie wychowanka. Nie nie pomoże tendencja tworzenia domów dla rodzestw. Najhumanistyczniejsza paragraf i tendencja same już nie są czymś straszliwie oschłym.

Węc cóż? Nikt nie neguje tragizmu sierotowa, podobnie jak nikt nie neguje tragizmu kalectwa. Ale z drugiej strony wiadomo, że ludzie upośledzeni fizycznie dokonują często większych osiągnięć niż ludzie normalni, gdyż wiedzą, że mo-

strzyk, a potem omówny środki działania doraźnego, pewni, że chuligani nie będą mnożyć się szybciej niż będą niszczeni.

Wiemy doskonale z nauk biologicznych, że środowisko kształtuje organizm, że zmiany środowiska wywołują zmiany w organizmie. Środowisko nie tylko kształtuje fizycznie, ale psychicznie. Polskie środowisko, środowisko wojny i skutków wojennych wywołało zmiany psychiczne młodego pokolenia. U samych podstaw chuligaństwa leży wojna i rozprężenie wojenne, leży wykołowanie ogromnej części społeczeństwa zarówno spośród młodszych rodziców jak i starszych dzieci. Za to nie jesteśmy odpowiedzialni, albo odpowiedzialni tylko, ile odpowiedzialność spada na każdego z nas za klęskę wrześniewa. Problem większej odpowiedzialności zaczyna się na odcinku rozkwitu chuligaństwa. Odpowiedzialni jesteśmy nie za to, że się ono pojawiło, ale za to, że nie znika, że nie potrafilimy zapobiec mu przez dostateczną zmianę warunków środowiskowych, że nie przekształciliśmy tak środowiska, by nie dawało ono klimatu sprzyjającego wygulowi chuliganerii.

Te dwie sprawy trzeba zasadniczo rozdzielić. Odpowiedzialność za pojawienie się chuligaństwa jako nagminnego zjawiska i odpowiedzialność za trwałość tego stanu. Gdyby obszar Polski zamieszany był przez Norwegów, czy Boliwijczyków zjawisko miałoby ten sam charakter. Określone warunki wywołują tu te same skutki. Nie sądzimy, że chuligaństwo należy przypisać jakimś narodowym cechom charakteru, że posiadamy na to zjawisko jakiś polski monopol. Zagadnienie biologiczne - socjologiczne przybiera w danym wypadku postać pewnych prawideł, jeśli nie praw. Możemy powiedzieć, że równanie: skutki okupacji kraju przez totalitarnego wroga plus zniszczenia wojenne, a więc zakłócenie w normalnym życiu narodu równa się powstawaniu chuligaństwa, możemy powiedzieć, że równanie to jest prawdziwe dla każdego narodu.

Niniejsze rozważania nie wyczerpują kwestii. Artykuł ten stara się pokazać jedynie podłoże zjawiska, traktując je jak najbardziej ogólnie, bez wdawania się w psychikę poszczególnych jednostek, bez ukazywania poszczególnych typów rozumowania chuligana, które sprowadzają go z różnych punktów wyściowych na tę samą ciężką wojenną przeciw

ga liczyć tylko na własną pracę. Że dzieci niezdolne miewają lepsze wyniki w nauce niż zdolne. Polemizując z p. Morawską staraliśmy się wykazać tylko jedno, że duży procent b. wychowanków domów dziecka pizebywających w domach poprawczych lub na liście przestępców nie pizemawia na niekorzyść zasady wychowawczej tych domów. „Nowa Kultura” i niektóre inne tygodniki zaalarmowały ostatnio opinię publiczną informacjami o przypadkach karygodnej krótkowzroczności, a może złej woli niektórych czynników aparatu sądowo-poprawczego dla nieletnich. Bolejamy nad tymi faktami. Trzeba jednak pamiętać, że nikt dotychczas nie próbował ująć w ramy publicystyczne równie tragiczne a może gorszych wyborów normalnej, domowej władzy rodzicielskiej. Nie wolno zapominać, że nadużycia w zakładach państwowych zostają przedej czy później wykryte, że państwo to przewiduje, wkałkulowuje w system, zwalcza za pomocą odpowiedniego aparatu kontrolnego. Ze skrzywdzony wychowanek domu dziecka ma przynajmniej za sobą opinię publiczną i prasę, chwytliwą i czujną na każdy alarm tego rodzaju. Natomiast dziecko świadczone lub bezwiednie krzywdzone przez własnych rodziców jest na ogół zupełnie wobec nich bezbronne.

Nie przeczę, że w którymś z domów dziecka mógł zdarzyć się sporadyczny wypadek maltretowania wychowanka. Ale nie mogło to być regułą. A w wielu, barzo wielu domach rodzinnych jest to niestety regułą. Jak również to, że dzieci są karane i bite wtedy, kiedy powinny być leczone. Ze najlepszy, najzaniejsi rodzice grzeszą niecz straszliwą głupotą, brakiem podświadomej wiedzy pedagogicznej. Ze nie są to przypadki wyjątkowe, egzotyczne, że potwierdzają je obserwacje nauczycieli, dziennikarzy oraz — milicji (vide artykuł Jadwigi Blond: Kto winien, Nowa Kultura Nr 259).

O co chodzi? O to, że na tę tragedię jest rada. Ze społeczeństwo ma prawo i największą obowiąz. K kontrolować, czy zdrowie i morale młodej generacji nie ulega wypaczeniu przez złe wychowanie. Społeczeństwo ma obowiązek i społeczeństwo ma możliwość. W jakii sposób? Powołaną do tego instytucją są komitety blokowe, których działalność ogranicza się dotychczas przeważnie do przybijania pieczętek na zaświadczeniach. Niespotykane w historii zjawisko władzy, która spełnia swe obowiązki, a nie korzysta ze swych uprawnień. Dalej — szkoła. W niektórych miastach, m. in. w Łodzi wprowadzono „otwarty dzień szkoły”, na który zaprasza się rodziców. To dobrane, a e to mało. W Moskwie i innych większych miastach radzieckich istnieje przy komitetach blokowych sekcja kobieca, która organizuje opiekę nad dzieckiem, wracającym ze szkoły. Istnieją tam specjalne świetlice, w których młodzież odbiera lekcje pod okiem matek kolejno dyżurujących. Dyżury matek nie ograniczają się do kontroli nad nauką. Te same matki zabierają dzieciennie blokowa do kina lub na inne rozrywki. Rodzice muszą tam przejść obowiązkowo, wieczorowe przeszkolenie pedagogiczne, którego wyka-

dowcami są kwalifikowane siły, o ile różności — rodzice z tego samego bloku, a także rodzice niefachowcy, ale mający duże doświadczenie pedagogiczne.

U nas próbuje się gdzieś wprowadzić te same założenia, najwyżej czas, aby je upowszechnić. Nasze dzieci stronią od świetlic, w których panoszy się nuda. Sprawy te mogą i muszą ulec reorganizacji.

Sprawy te mogą i muszą ulec reorganizacji. Jednakże — za pewną cenę, pewnym kosztem. Kosztem częściowej rezygnacji z uprawnień domu. Rodzice powinni zrozumieć, że w wypadkach, gdy oni nie mogą poświęcić swym dzieciom tyle czasu, ile by należało, ktoś ich musi zastąpić. Ale nie tylko w tych wypadkach potrzebna jest kontrola społeczna nad wychowaniem domowym. Zrewidowaliśmy nasze poglądy na nieograniczoną prawo własności, czas dokonać podobnego zabiegu w odniesieniu do władzy rodzicielskiej. Ta władza nie jest nieograniczona. A ponieważ nadużycia zdarzają się często, ktoś musi wystąpić w interesie poszkodowanych.

Jerzy Stadnicki

POKOŁENIE NIERÓWNEGO LOTU

(Dokończenie ze str. 1)

sposób ich sprecyzowania był tak mglisty, że pierwszy lepszy specjalista od literatury erotycznej i comicisłtu ilustrowanych może je łatwo obejsć.”

Czytamy dalej w tym artykule o reklamie win i alkoholu rozpow szechnianej wśród dzieci na bibulach, na okładkach zeszytów, na książkach szkolnych, ukazywanej w sugestywnej formie przy pomocy ergonomicznych rysunków, które mają na celu zaintrygować dzieci rumem „Negrita”, rumem „Damiani” czy winem Orańskim.

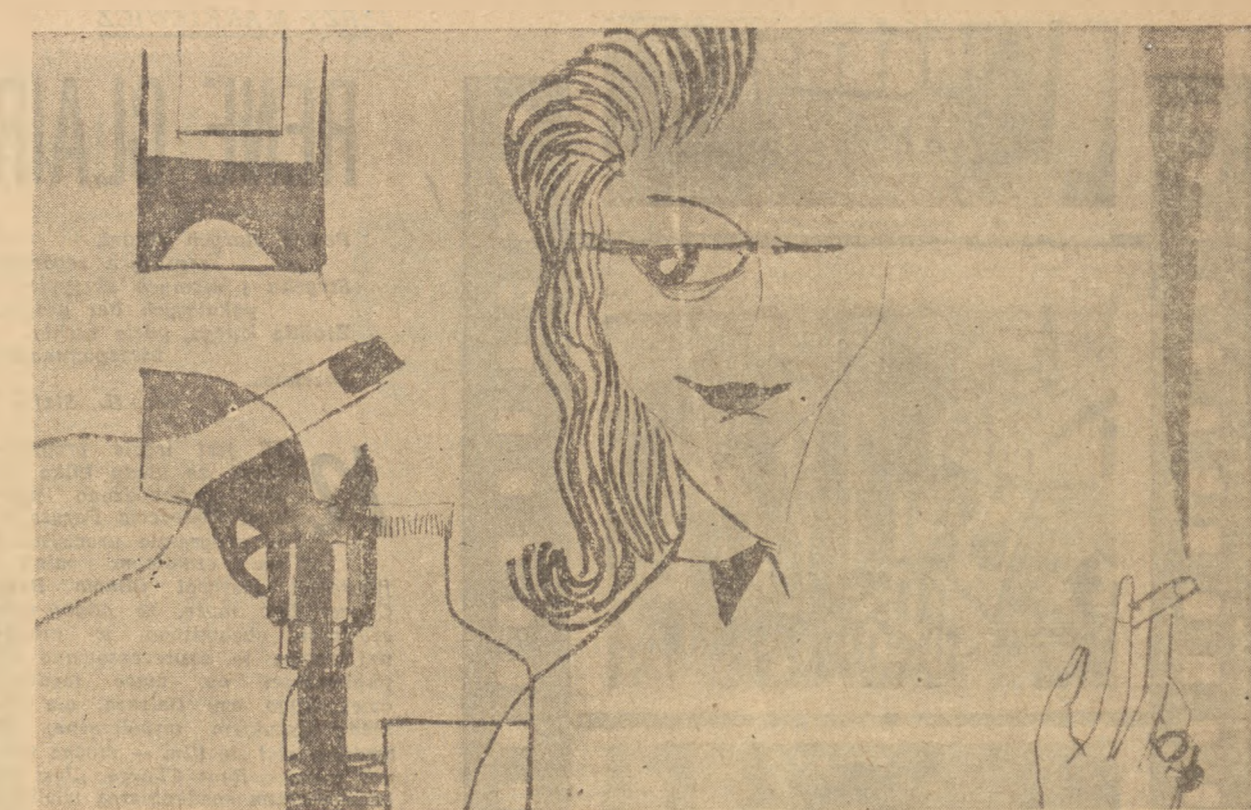
Niemiecka prasa postępową bije na alarm z powodu powodzi tandetnej, demoralizującej młodzież literatury oraz gangsterskich i pornograficznych filmów, którymi są zalane Niemcy zachodnie. W jednym tylko 1953 roku wydrukowano w Niemczech zachodnich 20 milionów zeszytowych powieściół. Lśnieje tam aż 79 księgarń, prowadzących wyłącznie sprzedaż literatury brukowej. Działanie tej literatury jest wstrząsające. Np. według Przeglądu Urzędu Statystycznego w Wiesbaden naliczono około 16 tys. młodocianych przestępców w wieku od 14 do 18 lat, przy czym stwierdzono, że w 90 proc. wypadków przestępstwa powstały pod wpływem brukowej literatury.

Inny przykład — tym razem ze Stanów Zjednoczonych. Znany amerykański psychiatra i ekspert od spraw prawno-lekarskich, dr Frederic Wertham, opublikował w swej wydanej w roku ubiegłym książce pt. „Seduction of the Innocent” („Uwodozenie niewinnego”) ciekawe liczby o ogromnym trwonieniu pieniędzy przez dzieci na kupno brukowych pism — comicisów. Obliczył, że rozchodzą się one w ilości 90 milionów egzemplarzy miesięcznie. Sprzedaż comicisów przynosi wydawcom dochód w wysokości około miliona dolarów tygodniowo, które są wyciągane z kieszeni dzieci. Niektóre z nich wydają rokrocznie około 50 dolarów na książki kryminalne. Na podstawie zbadania 450 dzieci w wieku od 9 do 11 lat dr Wertham doszedł do oszałamiających obliczeń. Okazało się, że przeciętne dziecko amerykańskie czyta tygodniowo około 14 comicisów, a nawet są takie, które przechwalały się, że przeczytały w ciągu tygodnia ponad 100 tych szmatławych książeczek. Amerykański uczeń spędza do trzech godzin dziennie nad podobnego rodzaju lekturą. Do czego to prowadzi?

Dr Wertham wykazuje w swej książce, że — tutaj cytuję za marcowym numerem wymienianego już przeze mnie pisma „The Catholic Herald” — „...istotna nauka, jaka płynę dla dzieci z lektury kryminalnych comicisów, może być porównana do instrukcji Hitlera, udzielonych generałom niemieckim w dniu 22 sierpnia 1939 r. przed napadnięciem na Polskę: „Nie ma problemu słuszności, jest tylko problem zwycięstwa. Zamknijcie swe serca na jakiegokolwiek współczucie! Bądźcie brutalni! Siła przed prawem. Obowiązkiem naszym jest jak największa surowość. Następcie na swego przeciwnika tak długo, aż zostanie zdruzgotany”.

Dr Wertham odsłonił jeszcze jedno źródło deprawacji młodzieży. Tym razem nie powstaje ono z życiowych wydarzeń wojennych lub powojennych, lecz jest świadectwem „roboty z premedytacją”. Sprawa jest zupełnie jasna. Zrozumieć ją można na przykładzie narkomana, którego nauczyło się palić opium. Pierwszy opiumowany papieros zatrutawo organizm na całe życie, a przede wszystkim uzależnia palacza od dawcy opium. A o to właśnie chodzi.

Zastawmy z sobą fakty. Największy wpływ na młodzież wywiera film i ilustrowane pisma. Ci, którym zależy na pozyskaniu młodzieży i bezwzględny podporządkowaniu jej sobie, umieją posługiwać się środkami „cywilizacyjnymi”: filmem, radiem, lekturą. Trucizna — zawierała w pornograficznym filmie, tkwiaca w rysunkach i treści comicisów, ukryta niewinnie w nalepie reklamowej na rum lub wino francuskie — ma na celu uspić jak pod działaniem opium zdrowe i słachetne norywy młodzieży. Otumaniona, zdemora-



rys. Gabriel Rehowicz

lizowana młodzież, pchnięta raz na drogę bagna, staje się łatwym narzędziem w ręku swych mocodawców. Jest jak narkoman, który w tęsknocie za opium gotów jest do każdego czynu, a nawet do sprzedania się, byleby zdolał zaspokoić swój głód tragicznego przyzwyczajenia.

Deprawując młodzież wywiera się na nią presję tpego posłuszeństwa — zamknięcia serca na wszelkie współzucie, na apoteozę brutalności, na prawo pięści, na draństwa i wulgarność. Przygotowuje się gladiatorów XX wieku.

DRUGA POŁOWA PROBLEMU

ALARMUJĄCE głosy podnoszone coraz częściej na Zachodzie przez stowarzyszenia i organizacje społeczne oraz prasę postępową przeciw deprawowaniu młodzieży są świadectwem toczącej się tam walki o młode pokolenie. Szeroka opinia publiczna jest zgodna w potępieniu amerykańskich metod wychowania młodzieży, importowanych za ocean. W parlamencie państw zachodnio - europejskich toczą się debaty nad wnioskami deputowanych, domagających się zakazu wyświetlania i kolportowania pornograficznych i kryminalnych smir filmowych i comicisów, ustala się, jak np. w Niemczech zachodnich, specjalne komisje, złożone z przedstawicieli Kościoła katolickiego i protestanckiego, do których kompetencji należy ocena moralna filmów, prowadzi się dyskusje, jak np. w Anglii i Francji, nad nowymi metodami pracy pedagogicznej.

Lecz czy w ten sposób rozwiązuje się problem?

Sprawa wychowania młodzieży zdeprawowanej jest jak hydra, której po obcięciu głowy wyrastają dwie nowe. Tak twierdzą socjologowie na Zachodzie, dopatrując się w zakazie rozpow szechniania demoralizującej lektury i filmów tylko połowicznego rozwiązania problemu.

Francuski profesor Levy Bruhl opracował na podstawie ankiety sporządzonej dla Krajowego Ośrodka Badań Naukowych we Francji szereg danych i wniosków dotyczących pochodzenia i warunków życiowych młodocianych przestępców w Paryżu w r. 1951. Badani zostali poddane skrupulatnie okręgi Paryża, a nawet poszczególne ulice i domy. Okazało się, że w niektórych okręgach, np. w dwudziestym, położonym na północny wschód od cmentarza Père Lachaise, istnieje bardzo wyraźna, znacznie wyższa niż gdzie indziej koncentracja przestępczości. Stosunek przestępczości waha się w tym okręgu w granicach od 6 do 10 na 1000 mieszkańców. Dzielnicę tę zamieszkuje najuboższa ludność Paryża.

Ulizki są wąskie i krótkie, pełno jest tam zaułków, w których brudnie, walące się kamieniczki przeplatane są starymi składami z rupieciami. Jest to dzielnica podejrzanych hotelików, odnajmowanych lokatorów na jedną noc. Opisujące warunki mieszkalne rodzin, żyjących w tej dzielnicy, jedno z pism francuskich podaje:

„Istnieją trzy ważne czynniki przestępczości nieletnich, ściśle ze sobą związane: mieszkaniowe, niemieskani rodzinne, alkoholizm. Jedno tylko podlega dyskusji, w jakim porządku należałoby je uszereżować: mieszkaniowe na pierwszym miejscu, czy też niegodziwa w rodzinie? W rzeczywistości te warunki mieszkaniowe są bądź powodem niezgody w rodzinie, bądź też przyczyną sprawującą, że stają się one nie do zniesienia. Jeśli zaś chodzi o alkoholizm, to pogarszają go zarówno warunki mieszkaniowe — jak się nie ma miejsca u siebie w domu, to się idzie do szynku — jak niemieskanie rodzinne — pije się, aby zapomnieć o kłótniach i zmartwieniach”.

Setek podobnych opisów i wniosków możemy doszukać się w prasie zagranicznej. Artykuły te kończą się zwykłe apelem, kierowanym do społeczeństwa i do rządu, aby zwrócić bacniejszą uwagę na nędzę ludności, na złe warunki bytowe, które rodzą ogniska przestępczości. Jakże jest znamienne, że apele te poruszają również sprawę oświaty i szkolnictwa. Wydaje się aż mało prawdopodobne, aby w wysoko cywilizowanych krajach sprawa szkolnictwa stanowała w XX wieku problem nierozwiązany. Jednak tak jest.

Zapoznajmy się z fragmentami

artykułu, wydłużonego: „Trudności szkolne”,

„Kokowien poświęcił nieco uwagi warunkom, w których znajdują się szkoły powszechne, walc, iż walczą one z poważnymi trudnościami. Wynaję się od nich wciąż więcej i więcej, gdy tymczasem powołane są one srookow — plemicy, pomeszczen, uatwren, wykładowcow — by pogodzić ten, czego się od nich żąda. Łudzą się, że kilkanaście tysięcy uczniów, pozbawionych przepisowej ilości godzin szkolenia. Brak sal wykładowych, wykładowców. Więcej niż półtora miliona dzieci chodzi do szkół, mieszczących się w pomalowanych garażach, kościołach, barakach i innych tymczasowych pomieszczeniach. Na ogół uważa się, iż maksymalna liczba dzieci, które jeden wykładowca uczyć może skutecznie, nie może przekraczać liczby 30.

Tymczasem, według wiarygodnych obliczeń, przynajmniej połowa klas w Stanach Zjednoczonych przekracza to maksimum, a w wielu z nich na jednego wykładowcę wypada aż 50 do 60 uczniów”.

Artykuł powyższy ukazał się w lutym numerze 1955 r. gazety amerykańskiej *New York Herald Tribune*. Autorem jego jest jeden z czołowych publicystów amerykańskich, Walter Lippmann.

Zwróćmy też uwagę na sytuację w skomunizowanym Niemczech zachodnich. W roku 1954 zachodnio - niemieckie szkoły opuściło około 920 tys. młodzieży. Z liczby tej 90 proc. musi — wskutek złej sytuacji finansowej swych rodziców — natychmiast zarabiać, a jedynie 10% może kształcić się w szkołach wyższych lub zawodowych. Kształcenie to napotyka na wiele jednak trudności. Szwajcarski dziennik *Neue Zürcher Zeitung* z maja ubiegłego roku publikuje dane o życiu studentów w Niemczech zachodnich.

„...minimum egzystencji studenta — pizkę cytowany uczeńnik (komorne, życie, przeżycie, użycie, biużeta i higiena) wana się w republice Związkowej w granicach od 130 — 180 DM. Spokro studentów, którzy nie wiazą na wszystkich wyższych uczelniach Republiki Związkowej wynosi ponad 100 000, zaledwie 12,2 proc. dysponowało w liceum roczną kwotą 40 DM i więcej na utrzymanie. Ponad 50 proc. studentów nie osiągnęło doney głaicy minimum egzystencji. Tylko 30 proc. mogło sntułowac w oparciu o wyłącznie pomoc rodziców, 40 proc. zaś musiało pizubiac się przez studia bez jakiegokolwiek pomocy ze strony krewnych. Okrągu 50 proc. studentów zarabiała własną pracą na swe ciokowe lub częściowe utrzymanie, w szczególności zaś do pracy takiej zmuszonych było 40 proc. tych studentów, którzy w liceum częję studia w r. 1952. Okrągu 50 proc. wszystkich studentów pracowało zarobkowo jeszcze przed rozpoczęciem studiów, ażeby zaspokoić sobie na pierwszy rok studiów pieniędż. Liczyb te — pizze na zakończenie dziennika — pochodzą z lata 1953, mają i dziś pełne znaczenie”.

Z przytoczonych powyżej 920 tys. młodzieży kończącej szkoły podstawową zatrudnienie znalazł może nieco więcej niż połowa, gdyż tylko 550 tys. — tyle bowiem nowych miejsc przewidują praktyki w zakładach pracy, fabrykach i biurach. Około 290 tys. młodzieży pozostanie na bruku, bez nadziei na pracę i dalszą naukę. Jaki jest jej los? Bezrobotce, a w dalszych konsekwencjach: włóczęgostwo, chuliganstwo, bandytyzm albo... wstąpienie do Legii Cudzoziemskiej. Temu desperackiemu krokowi ulegają coraz więcej młodzieży w Niemczech zachodnich. W r. 1954 wstąpiło do francuskiej Legii Cudzoziemskiej około 30 tys. młodych Niemców. Część z nich została przewieziona do Wietnamu, gdzie „zasilała” francuską armię kolonialną.

Analiza ta nie byłaby pełna, gdybyśmy nie uwzględnili jeszcze jednego elementu.

Przestępczość młodzieży w wymienionych powyżej krajach wpływa przede wszystkim ze zycwn warunków materialnych, z braku opieki, z nędzy. Ale czym sobie należy wytлумaczyć wzrost przestępczości wśród nieletnich w krajach, które nie znają nieszczęścia wojny, a nawet na wojnie się dorobili, jak np. w Szwecji?

Szczęśliwe położenie geograficzne Szwecji, odsuwające ją na bok teatrów wojennych, umożliwiło sporą akumulację dochodów czerpaną z czasów wojny i dostaw wojennych. Z tego też powodu stopa żywcowa ludności Szwecji była bez porównania wyższa od pozostałych państw. Mimo to młodzież szwedzka, która — wydawałoby się — nie doznaje głodu i nędzy, posiada dostateczną opiekę domu i szkoły, mimo to młodzież ta łączy się w zorganizowane bandy, które doszły do perfekcji w popełnianiu określonych przestępstw. Bandy te

dokonują masowych napadów rabunkowych, wiaman, gwałcen, podpalań domów i kradzieży aut, przy czym bardzo często dochodzi do formalnych bitew między młodocianymi bandami a policją. Rzecz znamienna, że szwedzcy chuligani nie należą do grupy społecznie najuboższej, jak to ma miejsce np. we Francji czy w Niemczech zachodnich, lecz wręcz przeciwnie — pochodzą z rodzin lepiej zarabiających, zamocznych, gupują się z kręgu studentów i urzędników. Jakkie są motywy ich postępowania? Austriackie pismo „*Wort und Wahrheit*” (marzec 1954), które w oszernym artykule zajmuje się sprawą chuliganstwa w Szwecji, pisze:

„Przeważnie sami dobrze nie wiedzą, co kieruje ich czynami. To jednak, co wyznaję przed sądem, wskazuje na dwie główne powody: nudę i żądzę posiadania. Smiertelna pustka niemiędzywionnrej wprawaio, lecz odczuwana jako bezsensowna, gazylatoci wycupnia się wszękiego rodzaju podrażnieniami: jeśli nie wystarczą walki bokserskie i zapasnicze, wysięb, motocyklowe, sensacyjne filmy i seksuazym, pozostają już tylko ryzykowne przestępswa oraz podniecy, jednak dostarczające niezbezpieczeniwo i idealnie zasad prawa państwowego i moralnego”.

I dalej snuje autor ciekawe wnioski:

„Odkąd pojęcie o zyciowym szczęściu wiąże się tylko z posiadaniem dóbr materialnych, zmienia się wówczas pragnienie — zaspokoić w pragnitywną żądzę posiadania, a stąd krok do rabunku i morderstwa nie jest już wcale daleki. Zycie zbyt spokojne, zabezpieczone i bez poświęceń podnieca — i to może wcale nie tych najgorzej — do wycożenie; potrzeba napięcia oraz czynu, który by wywoluje — rozładowuje, jest luzka i uprawiona, a nawet perwersja pod tym względem jeszcze to potwierdza”.

I wreszcie na zakończenie:

„Do tego dotychczas się wtórnie przyczyni, jak usuniecie autorytetu z wychowania i wyparcie myśli o grzechu z sadownictwa (zmienającego się coraz bardziej w instytucję leczniczo-pedagogiczną). Lecz rozstrzygającym momentem jest utrata sensu życia, który ocieci się da jedynie w religijnej wierze, i wraz z tym zalanianiem się oduczenia wartości i wartościowego ładu: duchowy chaos, całkowita pustka, obiektywna rozpacza. Przestępczość młodzieży w krajach o wysokiej stopie zyciowej jest protestem przeciw zwróceniu zachodniej cywilizacji”.

Przedstawione powyżej poglądy na sprawę wychowania i rozwoju młodzieży w krajach Europy zachodniej wskazują wyraźnie, jak bardzo paląca i powszechna stała się sprawa wychowania młodego pokolenia. Lot tego pokolenia jest nierówny, prowadzi od wysokich, bohaterskich wzlotów do upadku na dno moralne. Kierunek jego wyznacza środowisko, w którym się wychowuje i które go wychowuje; wyznacza więc społeczeństwo. Tym gorzej dla tych grup i klas społecznych, które nadużywają swej siły i autorytetu wprowadzając młodzież na manowce. Chocjąk bowiem gladiatorów XX wieku przygotowują sami sobie zmierzsch swego imperium”.

Wiele objawów dziedziczenia i chuligaństwa młodzieży występuję również u nas, w Polsce. Mechanicznie jednak zestawienie dyskusji o młodzieży, jaka się toczy na Zachodzie z dyskusją w naszym kraju, a zwłaszcza z wielkim wysiłkiem rządu, partii, organizacji społecznych, całego niemal społeczeństwa w powszechnej walce o profil idowy młodego pokolenia — nie jest ani słuszne, ani celowe.

Te bowiem środki, które wpływają na deprawację młodzieży na Zachodzie, jak np. m. in. nędza młodzieży, demoralizujące działanie filmu i comicisów — środki te w naszych warunkach nie działają. Jakże też jest inne podejście do tej sprawy u nas, gdzie nie toczy się bezwocznych polemik, lecz przystępuje się do powszechnej, zdecydowanej walki. A mimo to chuligaństwo nadal istnieje — i przez sam fakt istnienia staje się powszechną, społeczną zarzą, która przesącza się poprzez granice państw. Dlatego więc warto jest, odrzucając nieuchwytające w naszych warunkach źródła zł, porównać i uwzględnić te elementy i wnioski, które są w różnych krajach wspólne, względnie podobne. Do nich dochodzi szereg nowych, istotnych dla kraju, budźnionych nowo wartości społeczne. Należy im się przywrzeć z bliska, ale już w oddzielnym artykule, poświęconym sprawie młodzieży naszego kraju.

Zbigniew Czajkowski

Marek Antoni Wasilewski

RENÉ CLAIR czyli trochę o romantyzmie filmowym

Poezja starych studni, zepsutych zegarów, Strychu i niemych skrzypticzek, pięknych bez grajka, Ziółka księga, gdzie uschła niezapominajka
Drzemie...
(L. Staff)

NIESTETY jest wcale przypadkiem, że kiedy kilka lat temu obchodzono jubileusz 2000-lecia Paryża, to w programie uroczystości na czołowym miejscu figurował festiwal filmów René Claira. Być może, że gdyby uroczystości obchodzone w minionej epoce, to zaprezentowano by publiczności np. żywe wydanie dzieł Hugo czy Balzaca, ale dziś kiedy językiem współczesnej literatury stał się film — można mówić tylko o René Clairie. „Jest on bezpośrednim spadkobiercą wielkich pisarzy klasycznych, którzy rozporządzali tylko słowem jako środkiem wyrazowym. Cała sztuka René Claira postawiła sobie za zadanie tym samym językiem, lecz przy pomocy środków wyrazowych XX wieku, prowadzić dalej ich myśli” — pisze krytyk Roger Regent. My filmom Claira zaudezczamy takie wzruszenia, jakie zwykło przypisywać się książkom przeczytanym w dzieciństwie.

„Z pewnością nie takim spojrzeniem patrzylibyśmy na miasta i życie — pisze inny francuski krytyk Marcencac — gdyby nie filmy Claira, z których bije cały blask jego nazwiska i które w sposób tak niezwykły, tak paradoksalny pozwalają nam nagle dojrzieć cudowność i poezję w pełnym świetle słoi- ca...”

Gwiazda Claira poczęła właściwie blyszczeć dopiero od czasów „Antraktu” (1924), kiedy dwudziestoparoletni paryżanin, dziennikarz, scenarzysta, aktor u Louisa Feuillada i asystent tegoż, a wreszcie reżyser kilku krótkometrażówek — zrealizował krótki film surrealistyczny, który stał się klasycznym przykładem filmu „bez tematu”. Modne i blyszczące wówczas awangardy dadaistów i surrealistów chętnie i szybko przypięły mu laur, który pozwolił na rychłe podjęcie produkcji kilku jeszcze pozycji w duchu teźże awangardy, aby z kolei podjąć się produkcji pełnometrażowej pozycji. Była to filmowa wersja „Słomkowego kapelusza” Labiche'a (1927) w koncepcji swej jak najbardziej daleka od mętnego belkotu awangardowego. U schyłku niemej epoki Clair zaprezentował nie tylko dojrzałe opanowanie techniki filmowej, ale i już indywidualne cechy stylu reżyserskiego, które w kilka lat później doprowadzone zostaną do swojego rodzaju doskonałości.

To zamiłowanie do satyry, ironii i groteski przeplata się przez całą jego twórczość na przemian z poezją, która rozświetlać będzie każde z jego dzieł i będzie powracała z zabójczą regularnością tak jak owa piosenka w „Pod dachami Paryża”. Będzie stawiał Clair w groteskowych sytuacjach Polę i Alberta, bohaterów „Pod dachami” (1930), gdy każe im spać oboju obok pustego łóżka, w „14 Lipca” (1933) każe szoferowi i podpiemu bogacz- owi bliżej niż Gdańsk, Kraków, Stalinogród czy Bydgoszcz...

wi zamienić się rolami w prowadzeniu taksówki. Do jeszcze większej groteski, ale już niepozobawionej ciotości satyry politycznej doprowadza sytuacje, w których przedstawi swoich bohaterów z „Nlech żyje wolność” (1932) czy „Ostatniego miliardera” (1935). W pierwszym z nich bogaty fabrykant, czyli wielki złodziej (bo tak go przedstawia Clair) i jego przyjaciel, zwykły kieszonkowiec, porzucają cywilizowany świat, by pójść chapele, a w „Ostatnim miliardrze” tyrania i władza dyktatorska zostaje tak wysmiana, że elitarna publiczność paryskiej premiery protestuje z widowni boleśnie ugodzona.

CLAIR z upodobaniem bawi się groteską wielkiego świata kapitalu, czy zalczyłych mieszczuchów w „Pod dachami Paryża”. Przez jego filmy przewija się cała fauna zwariowanych bogaczy, sklepikarek, strasznych lokatorów w krochmalonych koinierzykach i wytartych tuzurkach, sentymentalne kwaciarki, zawoławym apasze, typy i typki, które harmonijnie stapiają się ze środowiskiem i mimo swych cech więcej czy mniej groteskowych nie odbierają mu ani na chwilę piętna prawdziwości.

Ale tak widać twórczość René Claira tylko z jednej strony. Patrząc drugim okiem widzimy, że cały ten świat spouty jest mgiełką liryzmu, sentymentu do paryskich zakątków, miłości do ludzi, którzy ożywiają ten jego niepowtarzalny Paryż. René Clair językiem współczesnego widzenia świata, — językiem filmu, zamknął w swych dziełach ów nieuchwytny „esprit” Paryża. „We wszystkich filmach René Claira od „Antraktu” do „14 Lipca” — pisze tenże Marcencac — dostrzegam poezję, która niezgodnie zawszedza starzejącemu się urokowi nocy; filmy te poddają surowej próbie trwałości poetyckich elementów. Podobnie czynią ze swymi utworami „oeoi, wstawiając je na szeroki wiatr rzeczywistości, na prawdziwe jasne, różane światło słoiica. René Clair to człowiek, który nie zasnawa cienia, to jeden z najbardziej słonecznych duchów naszego czasu”.

Ale twórczość jego słonecznego ducha nie była łatwa, jak się wydaje pozornie. Wypiony i zdevaluowany przez Claira świat kapitalu zgoutwał krytyczne przyjęcie jego dwu filmom: „14 lipca” i „Ostatni miliardr”, prasa napisała o nich dość chłodno i producenci, po fiasco jakie spotkało ten ostatni tytuł, bałi się ryzykować wkładów w jego następne przedsięwzięcia. Być może, że i trochę winy ponosi tu sam twórca, który w ostatnim dziele zbyt daleko poszedł w swym zamilowaniu do groteski, ale pewne jest jedno, że triumf populistycznej szkoły w dobrym tego słowa znaczeniu, sympatia z jaką potraktował tylko prostych ludzi — nie przypały do gustu elitarniej widowni stolicy Francji.

Itak największy reżyser opuścił rodzinny kraj, by szukać zrozumienia na obczyźnie. René Clair przyjął zaproszenie od rozwijającej się wówczas świetnie wytwórni angielskiej Aleksandra

Kordy i tam, w 1936 r. zrealizował „Upiura na sprzedaż”. Cóż, pisać o technicznej rzędnosci tej satyry na amerykanizm, o jej ciotości, o ironii clairrowskiej, to będzie z pewnością długi potok superlatywów. Dla sztuki filmowej oczywisty jest fakt, że zarówno ten, jak i następny jego film angielski (Break the News) są tylko powtórzeniem recept jego dawnych utworów, zawsze nienagannie technicznie, ale wypranych całkowicie z tego francuskiego, narodowego klimatu, którym przepojony był każdy jego film, i dzięki któremu każdy z nich był nowym osiągnięciem dorobku artystycznego. Jeżeli z okazji wyświelenia „Upiura na sprzedaż” na naszych ekranach zajmujemy się osobą René Claira — to nie dlatego, aby bić peany pochwalne pod adresem tej satyry (na które ona bez wątpienia zasługuje), ale by na przykładzie jego drogi twórczej zobaczyć, jak przebiega kształtowanie indywidualnego stylu artysty i jak jest on związany ze swoim czasem, ze swoim krajem.

Pięknie zresztą mówi o tym sam René Clair w wywiadzie udzielonym w tym roku przedstawicielowi „Les Lettres Françaises”: „Oczywiście należy, aby film był sztuką narodową, narodową za wszelką cenę. Tematy, które mogą być poruszone na placzkach międzynarodowej są niezmiernie rzadkie... Nie możemy pracować i tworzyć samotnie. Filmowiec wyraża kraj, w którym żyje. Czegoż można dokonać bez narodu, bez swojego miasta, bez swojej prowincji... To oni są naszymi prawdziwymi współpracownikami. I to jest prawo, które nie znosi wyjątków, prawo, że dzieło, które odnosi wielki sukces międzynarodowy, jest dziełem posiadającym przede wszystkim charakter narodowy”.

W latach drugiej wojny światowej Clair przebywał w Hollywood, gdzie zrealizował kilka filmów, ale których jakąż nadrzedną wspólną cechą była jedynie nienaganna technika. Oddalony od Paryża Clair coraz bardziej odrealnia swoją twórczość, nie więc dziwnego, że jego gwiazda straciła swój wielki blask. „Plomień nowego Orleanu” (1941), „Ożeniłem się z czarownicą” (1942), „Na wieczność i jeden dzień” (1943), „Zdarzyło się to jutro” (1944), „Dziesięciu małych Indian” (1945) — to filmy już tylko pełne zabawnych czy groteskowych momentów komicznych, którymi Clair wprowadza nienagannie zongluje, ale które dla wszystkich miłośników jego sztuki były symptomem schyłku talentu.

TOTEŻ kiedy po zakończeniu wojny powrócił do kraju i prasa podała wiadomość, że Clair rozpoczął realizację nowego filmu, z niepokojem oczekiwano na premierę. Ten jego „nowy film „Milczenie jest złotem” wprawdzie przyniósł mu nagrodę na Festiwalu Brukselskim w 1947 r., ale nie oznaczał on jeszcze rozwoju twórczości Claira. Film był echem jego „paryskich” filmów z początku ubiegłego dziesięciolecia. Clair nawiązywał do swoich dawnych tradycji w ciepłym i pogodnym nastroju, w trosce o realistyczne widzenie słoiecznej ulicy i człowieka. Ale to było tylko echo daw-

nego Claira o jakże jednak czarującym brzmieniu.

Czas jednak posunął się nieubłaganie naprzód i trzeba było dać odpowiedź na gnębiące każdego twórcę pytanie: Co nasz do powstania o dniu dzisiejszym? W latach zimnej wojny i rozbitcia atomu?

Odpowiedzią na to jest film Claira „Urok szatana” (1949): zmodyfikowana świadomością polityczną i indywidualnym widzeniem artystycznym „wórca legenda o Faustie. Zapytany przez dziennikarza dlaczego właśnie podjął ten a nie inny temat, Clair powiedział: „Kazdy człowiek powinien napisać Fausta”, być może, chce przez to powiedzieć, że każdy człowiek nosi w sobie zarodek zagadnienia faustowskiego... „...postać taka, jak jest Faust w świetle naszej epoki nabiera szczególnego kolorytu. Wielki prad działalności umysłowej, który popychał alchemików do poszukiwania kamienia filozoficznego i tajemnic materii dotrwiał nie słabnąc do wieku odkryć atomowych. Nasi współcześni kurczą się z przywileju uczestniczenia w dziwnym widowisku, gdzie ludzkość, zaprzędawszy swą duszę wedy, pragnie zapobiec polepszeniu świata, ku któremu popychają go jej własne odkrycia.” Tył René Clair. Cóż trzeba dodawać do tego dzieła — parabolii współczesności. Nie jest tu miejsce na polemikę „lacińską” koncepcją faustowską, którą Clair przeciwstawił „germańskiej”, goethowskiej. Nie dlatego, żeby nie odrzucał te zagadnienia istotnej roli, ale dla braku miejsca na omówienie tego problemu, który jest zresztą przedmiotem studium S. Skwarczyńskiej w tomie „Studiów i szkiców literackich”, gdzie odsyłam zainteresowanych. Dla nas jest w tej chwili istotna postawa twórcy, która odpowiada na pytanie postawione przez czas. Oczywiście nie można zapominać przy rozważaniu tej sytuacji o koniecznym kompromisie, wobec którego znajduje się twórca filmowy w państwach Zachodu. Stąd rozprawa Claira ze swoją epoką polega na krytyce antyhumanistycznego wykorzystania wiedzy i wojen naszych czasów, a jej słabość leży w kapitulacji bohatera wobec stojących przed nim problemów.

Clair to nie tylko piewca romantycznych załków Paryża i pochwały prostego człowieka, ale artysta, który w dziełach swych daje obraz niepokoju naszych czasów. Bo nie tylko w faustowskich perypetiach Henryka zamknie ten niepokój, ale i w nocnych marzeniach młodego muzyka z prowincjonalnego miasta („Czarodziejki nocy”, 1952) kołatać będzie ta myśl, która każe uciekać bohaterowi od rzeczywistości do historii, która rzekomo była lepsza.

Tak pokrótce wygląda droga twórczości René Claira, który w dziełach swych wchłonił tęsknotą dzisiejszego człowieka. Droga nie zamknięta jeszcze żadną datą, bowiem jeśli kierunek potrafił odurczyć ten najbardziej słoneczny z twórców filmowych naszych dni, Clair gło- szący zawsze pochwały życia.

Jerzy Mankiewicz

ZUZANNA CZAJKOWSKA

SPOTKANIA

pokaże, czy będzie z nią aktorka. Gdy ją ostatnio widziałam, uśmiechała się przy powitaniu:

— W teatrze zaszło wiele pomyslnych zmian... — szepnęła tajemniczo i pobiegła włożyć strój panny Ciuciunkiewicz.

*

Zespół aktorski przez długie lata stanowił tu przeważnie ludzi starych. Młodzi, pragnący pracować w centrum ruchu artystycznego odeszli z Białegostoku do większych teatrów. Ci, którzy pozostali, osiedlili się tu na stałe — była zresztą wtedy w modzie tendencja do ustalania i „weryfikowania” zespołów. Potem przybyło trochę młodych aktorów. Pojawiłi się absolwenci Wyższej Szkoły Aktorskiej — Janina Mrozówna, Ryszard Wilda. Mogą oni na pewno niejednemu powieścić o zzywaniu się z Białymstokiem, z tutejszym teatrem, a także o swych planach artystycznych i ich realizacji... Danuta Urbanowicz, uczennica „Zelwera”, przybyła tu przed rokiem po praktyce w teatrach warszawskich:

— Długo tęskniłam za szkołą teatralną... Mam z czasu studiów piękne wspomnienia... I ogromnie wiele wdzięczności dla „Zelwera” — to niezwykły człowiek i pedagog...

Rozmawiamy cichutko, bo właśnie trwa spektakl „Intrygi i miłość”. Pani Danuta kreuje Lady Milford: jest to jedna z jej pierwszych poważnych ról. Cieszy się, że gra w sztuce Schillera i, że nareszcie na scenę wkroczył romantyzm.

*

Schiller oczywiście „chrycił” w Białymstoku. Teatr przygotował

W Białymstoku nie ma chyba nikogo, kto by nie znał pracownika teatru — Mieczysława Kobeszki. Popularny, nagradzany, opisywany, a przede wszystkim znany i popularny wśród widzów — jest Kobeszko żywym symbolem manii teatralnej. Kiedy zaczął pracę, nie wie właściwie już nikt, wiadomo jest tylko, że siedzi w teatrze od lat. Kto ciekaw dziejów teatru białostockiego, niech do niego idzie. Dowie się wielu ciekawych rzeczy, na pewno nie będących własnością ogółu. Wszyscy w teatrze lubią Kobeszkię, popularnego „Miecia”. Jednak ktoś z nas jest idealtem? I Miecio ma swoją wadę. Krąży anegdota o tym, jak dyrektor wezwał go kiedyś do siebie i rozpoczął przemowę:

— No i co, wódka była w robocie?

— Była...

— Zwalałam pana z pracy i to natychmiast!

„Miecio” spojrział na dyrektora uważnie, a potem nie znojącym sprzeciwu tonem odparł:

— E, panie dyrektorze, mnie zwolnić? — To rzecz wykluczona. Ja się stąd nigdzie nie ruszę. Bez teatru żyć nie mogę!

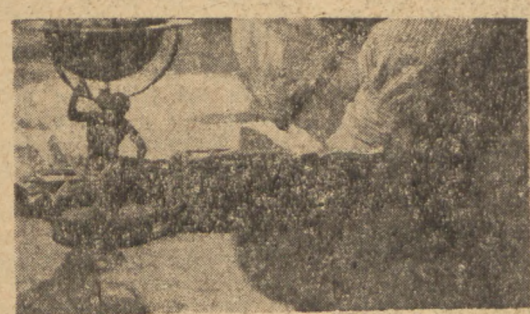
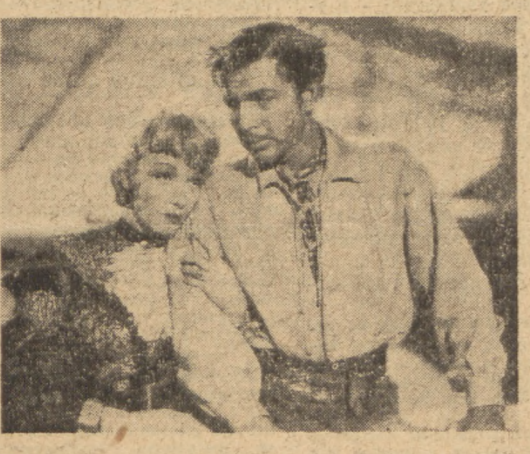
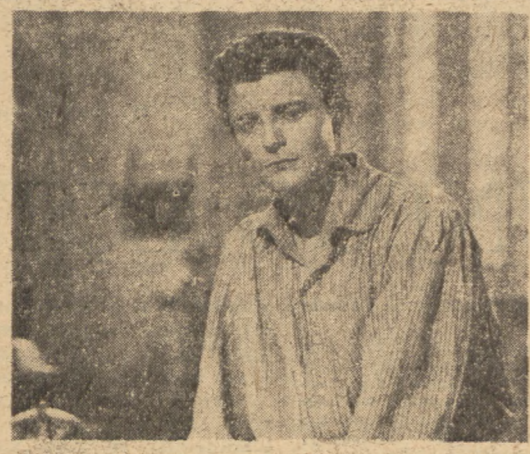
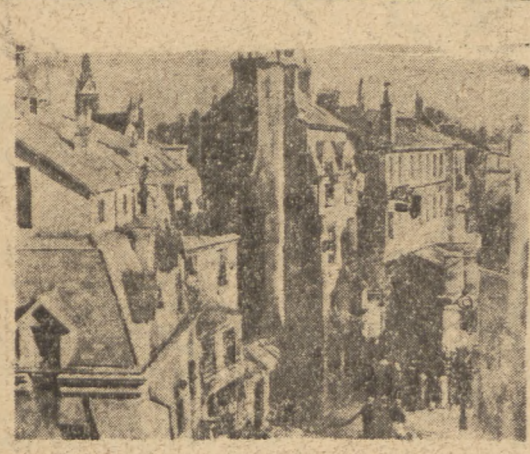
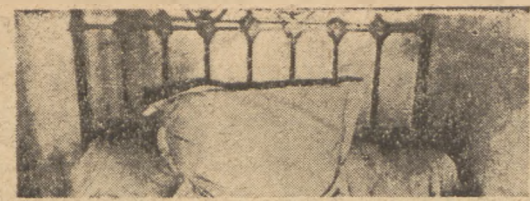
I został. Oto symbol potęgi teatralnego bacyka. I to właśnie symbol Białostocki.

*

Jeszcze do niedawna mieszkańcy Białegostoku z dużą rezerwą odnosili się do swego teatru. Wzruszali ramionami:

— Iść na nudy? Oglądać marne sztuczki? To już lepiej posuchać radia w domu, a na dobre przedstawienia jechać do Warszawy. Na prowincji nie dojdzie do człowieka, który nie pokaż...

Otóż właśnie: prowincja z jej zastojem kulturalnym, z nudą, z wszelką miernością. Prowincja — w odległości 187 km od Warszawy — a



1) „Pod dachami Paryża” (1930); 2) „Pod dachami Paryża” (1930); 3) „Urok szatana” (1949); 4) „Czarodziejki nocy” (1952); 5) „Plomień Nowego Orleanu” (1941); 6) „Upiur na sprzedaż” (1936); 7) „Milczenie jest złotem” (1947); 8) „Urok szatana” (1949).

NAJBARDZIEJ ROMANTYCZNY ZEGAREK

O teatr poezji



Strawiński nazwał Ravela zwyczajnym zegarkiem. Określił wielkiego kompozytora nazwą, która symbolizowała precyzję, logikę i techniczną doskonałość. Wszystko w porządku — to cechy niezwykłe, ale nie pasują do Ravela. Intuicja doskonałego mechanizmu, jasność i celowość w każdym najmniejszym szczególe. Ale jeszcze coś. I to coś bardzo ważnego. Uczucie. Całe życie uczucia wyczuwał, wyczuwał, przetrząsnął na język tryków, kotek, sprężyn, delikatny, subtelny, wrażliwy. Ravel włożył w siebie urdową koszulę, przynajmniej pozory. Chociaż nie posiadał tych cech. Ravel — jest wrażliwym, opamiętanym, to nie jest wynikiem wrodzonego cnioty i braku temperamentu. Ravel — to energia ciepna w przelotach — energia jasności i rytmu. Ravel — wyznał formę, formę na uczucie. Z uwyśnieniem irozmyślnym usilnością nakreślił swój swawolny zegarek i z pozornym zdziwieniem obserwuje działania, obserwuje, poznawszy jak wyznacza ten precyzyjny mechanizm. Ravel to najbardziej romantyczny zegarek na świecie.

Dziwnie, jak bardzo w ciągu kilkunastu lat może zmienić się sąc o jakimś kompozytorze. Najbardziej szokowalnym dowodem — chociaż był najgorzej nowatorski z nowatorów. Później stawiano go obok Debussy'ego, zrobiono z niego impresjonistę — a nigdy z impresjonizmem nie miał nic wspólnego. Określano go nieuczynym, zimnym, cynicznym technikiem — nie umiejąc spojrzeć poza parawan mechanizmu. Dziś widzimy w nim kontynuatora najlepszych tradycji klasycystycznych XVIII-wiecznych — klasycystów. Widzimy w nim klasycystę, bo posiada typowy dla Francuzów umiar i klarowność. Widzimy w jego muzyce ten na wskroś ludzki, intymny charakter, który nie kieruje do tego, aby klasycystę zwracała forma stała się rytyną i pustą formułą. Ravel to romantyk, który z zaangażowaniem ukrywa się w misterne klasycystycznej budowie.

Ravel wśród swoich przyjaciół był znany z mani kolekcjonowania najróżnorodniejszych mechanicznych zabawek i przedmiotów aparatów, w których pomysłowość i inteligencja graniczyły z absurdem. Pod koniec życia miał jakby chory, zdzianczy, nieco postarzany, bardzo wytworny pan, mieszkał w domu, jakby specjalnie dla siebie pobudowanym, pokazywał dość rzadkim gościom swoją najdziwniejszą kolekcję. W kilkunastu małych pokojach, po których spacerowała ogromna rodzina jaskinowych kotów — stały najbardziej niespodziewane i najbardziej bezsensowne produkty ludzkiej pomysłowości i ciekawości. Puszczaj w ruch jakieś małe modele okrętów, zbudowane w butelce — i sztuczne fale obmywały go, jak na pełnym morzu, poruszały się ręce i chorągiewki — aż dziwaki odrywały donki.

Ravel z lubością obserwował te swoje mechaniczne stworzenia — podziwiał w nich ogromny wysiłek technicznej inteligencji. Podziwiał geniusz wynalazcy prostego człowieka, który wyprowadził się w tym rodzaju zabawek. Z najprostszych drobnych elementów potrafili skonstruować żywą maszynę. Podziwiał instynkt twórczy, który kazał budować te bezcelowe urządzenia. Ravel był także skrytym fanem swoich żabek i równie bezinteresowny, co absolutnie nie wykluczało poczucia własnej wartości. Właściwy ten Ravel, to muzyka fortepianowa, muzyka, w której najwyraźniej i najbardziej — jakby najniebezpieczniej — jest efekciarstwo, najprościej wyrazić to, co się ma naprawdę do powiedzenia. Ravel potrafił wyciągnąć wnioski z techniki tych kompozytorów, którzy w historii muzyki nie wierzyli w sztukę i z techniki Liszta i Chopina. Nie tylko wyciągnął wnioski, ale doprowadził technikę fortepianową do nowych, bardzo twórczych osiągnięć. Swymi pierwszymi utworami potrafił wyprzedzić nawet na starszego od siebie o kilkanaście lat kompozytora, którego częściej od Ravela kojarzy się z fortepiannem — na Debussy'ego. Fortepianowy utwór Ravela skonstruowany jest ze specyficzną logiką mechanicznej zabawki. Równie złożony, nie posiada jednak żadnych komplikacji, które by zaciemniałyby racjonalną konstrukcję. Posiada wdzięk i wytworność starszowiejskiego teatru marionetek. W każdym ruchu, każdy gest jest dokładnie obliczony, wszystko odbywa się w myśl zelanym rygorów scenariusza — ale widz przetrzymuje przedstawiennik — jakby to działo naprawdę, cierpi nad niezliczonymi bohaterami i cieszy się z ich sukcesów.

A POTEZA tego ravelowskiego kultu mechanicznego jest wstęp do na wskroś oryginalnej opery Godina hiszpańska. Bohaterami tego wstępu są zegary, bo akcja dzieje się w warsztacie zegarmistrza. Motywowym przewodnikiem jest ich tykanie, bicie, ich kurczenie — całe bogactwo odgłosów tego dziwnego świata rubek i sprężyn. W obu operach Ravela napełnione dźwięki dochodzą do głosu jego rezerwa uczuciowa, podkreślenie umowności tego wszystkiego, co się dzieje na scenie, a przede wszystkim jego dźwięki, jego melodyki, jego porzeczność, jego niepoprawność, jego nieumiejętność, jego niesłuszność. Dowcip i ironia często jest bronią ludzi wrażliwych i siabych. Jeżeli wrażliwość jest słabością, to Ravel bronił się

doskonale, zarówno na terenie swojej sztuki, jak i w życiu. Znana jest historia zachowania na proscenium jego opery Dziecko i czary, kiedy alyzając w sąsiedniej loży nieudolnie gwizdał, nie posławszy z pewnością galanterii klucza, chcąc pomóc sąsiadowi w gwizdaniu.

Bardzo osobisty romantyzm Ravela przejawia się m. in. w poszukiwaniu dla utworów literackiego podkładu, który bardzo często wywodził się ze świata fantastyki i baśni. Opera Dziecko i czary to do libretta Colette — historia dziecka i jego obraznych zabawek, Ma Mère l'Oye — muzyczna opowieść na kanwie paru francuskich bajek, balet Daisis i Chloee, cykle fortepianowe oparte na cyklach poetyckich, to nie wszystkie przykłady. Indywidualność tego ravelowskiego romantyzmu tkwi w jego umiarności, braku egzaltacji i uniesienia. To romantyzm bardzo współczesny, nie ma w nim lez, nie ma tragedii. Nawet kontemplacyjny nastrój posiada pewien nałot delikatnej ironii, pewien pobłażliwy uśmiech.

Subtelna mieszanina kpinny, tliłości, łagodnej powagi, refleksji i dość opornego radości jest zresztą cechą całej muzyki Ravela. Dystynkja i dobry smak nie pozwala Ravelowi podnieść głosu — potrafił powiedzić co z siłą i bardzo dobitnie, ale nigdy nie jest brutalnym. Muzyka ravelowska to zawsze muzyka w białej koszulce z krochmalnym kołnierzykiem.

Dawkowanie wrażeń, stopniowanie napięcia jest u Ravela tym bardziej frajdujące, że muzyka jego często posiada charakter, na który wypłynęła ludowa twórczość hiszpańska, charakter, który kojarzy się z gwałtownością, pasją i temperamentem. Ravel urodził się na granicy Francji i Hiszpanii, w Kraju Basków, a po matce posiada przemieszanie krwi hiszpańskiej — stąd w jego twórczości często powracająca iberyjska tematyka i motywy pokrewne hiszpańskiej muzyce. Najlepszym, klasycznym przykładem na stopniowanie napięcia w utworach Ravela jest najbardziej chyba znany jego utwór — Bolero. Bolero zostało napisane dla baletu i właściwie przez wykonanie „estra-

lowego wypacza się poważnie jego sens. Uporczywy rytm (mający zresztą mało wspólnego z rytmem ludowego hiszpańskiego bolera) uporczywie, do szaleństwa powracający motyw, stopniowanie dynamiki — to wszystko znajduje uzasadnienie na scenie. Scena przedstawia wnętrze kawiarni, przy stolikach siedzą goście, na środku tańczy samotnie tancerka. Stopniowo do tańca włącza się więcej par, na scenie jest coraz więcej ruchu i balet kończy się tańcem ogólnym. Ravel nazwał Bolero crescendo na orkiestrę. Dodał później, że jest to utwór na całą orkiestrę — bez muzyki. To pozornie paradoksalne określenie jest dość prawdziwe i kompozytor bardzo niechętnie odnosił się do estradowego, koncertowego wykonania. Trzeba jeszcze dodać, że Bolero w wykonaniu ba-



Maurycy Ravel

letowym posiada rytm dużo wolniejszy i jest o wiele bardziej denerwująca.

Dosć nieszczyśliwe jest — mimo wszelkich pozorów słuszności — łączenie nazwiska Ravela z Debussy'm; najmniej w jego muzyce jest właśnie wpływ Debussy'ego. Ravel podkreślał zawsze ogromne znaczenie, jakie dla jego twórczości — oprócz XVIII-wiecznych klasycystów — miała muzyka Satiego, Chabrier'a, Fauręgo, wreszcie nawet Saint-Saens'a — o co nikt by Ravela nie pisał. Ravel cenil Saint-Saens'a — umiarkowanego eklektyka — za jego ogromny zmysł konstrukcyjny, a Fauręgo, u którego uczył się w konserwatorium — za typowo francuski wdzięk. Tak jak Strawiński lubił popisywać się muzycznymi kolekcjami, które nie miały poza sobą nic wspólnego z charakterem jego muzyki. Strawiński powoływał się na Czajkowskiego i Webera — Ravel na Gounoda. Bardzo istotne znaczenie dla muzyki Ravela miało postrzanie twórczości kompozytorów rosyjskich — przede wszystkim genialnego Musorskiego, który jest jednym z ojców całej nowoczesnej muzyki. Utwory Borodina, Bałakirewa, Rimski-Korsakowa, pozostawiały trwałe ślady na kompozytorach Ravela, tak jak zresztą w ogóle

na życie muzycznym całej ówczesnej Francji. Bez baletu Diaglewa, przedstawienia Borysa Godunowa w Paryżu, z Szaliapiem w roli tytułowej, historia muzyki potoczyłaby się zupełnie odmiennym torem.

B EZ twórczości Ravela zupełnie inny byłby rozwój współczesnej pianistyki. Oprócz drobnych — a bardzo wartościowych — utworów fortepianowych, Ravel napisał dwa koncerty na fortepian. Historia tych koncertów jest dość ciekawa. Zaczął komponować koncert na próbę, znakomity pianista Marguerite Long. W trakcie pisania otrzymał zamówienie od austriackiego pianisty Witteggsteina, który w czasie wojny stracił prawą rękę. Witteggstein prosił go o koncert na lewą rękę. Ravel zapisał się do pomysłu i pisał oba koncerty równocześnie. Ciekawe, że te dwa utwory powstały w tym samym czasie, posiadają zupełnie różny charakter. Koncert, na obie ręce jest liryczny i miękki, koncert na lewą rękę bardziej heroiczny i mocny. W obu jest wspaniały popis ravelowskiej instrumentacji.

Instrumentacja Ravela, to osobny rozdział w historii muzyki. Ravel — kompozytor, który komponował przede wszystkim na fortepian — dopiero później instrumentując swoje utwory — jest obok Strawińskiego mistrzem orkiestrą. Balet Daisis i Chloee to podziwianą nowoczesną instrumentację: barwa orkiestry, najbardziej niespodziane i odwodne efekty muzyczne — a przy tym wszystkim niesłychanie kulturowa i typowa dla Ravela dobra smak, są bez precedensu w historii. Wagner jest prototypem, a Ryszard Strauss brutalnym w porównaniu z brzmieniem ravelowskiej orkiestry.

Świetna, a zarazem szalenie subtelna barwa orkiestry jest jednym z elementów poetyki Ravela. Poetyka ta jest bogata i bardzo różnorodna. Począwszy od samych tytułów utworów — jak Pająk na ścianie, Infanki — które narzucają z góry słuchaczowi nastrój, — skończywszy na ogromnym mistrzowskim warsztacie kompozytorskim, który — bez tytułu utworu — potrafił zasugerować każdego wrażliwego odbiorcę.

Ravel, nazywany często za życia „małym mistrzem” — przez swoją niechęć do dużych form muzycznych — zmarł po dłuższej chorobie nerwowej w 1937 roku, prześladowany obsesją i bardzo bogatymi kompleksami. Ostatnie lata życia Ravela były tragiczne. Od dawna lekał się choroby umysłowej, która sprawiła, że jeden z jego mistrzów — Chabrier, nie miał pod koniec swego życia rozpoznawać własnych utworów. Choroba jego była mniej dramatyczna, ale równie przykra. „Mały mistrz” pozostawił jednak po sobie utwory, których znaczenie jest większe od wielu długich symfoni.

Jerzy Olkiewicz

Czytać — nie czytać?

Ludwika Woźnicka: Ocalenie i inne opowiadania. Iskry. Warszawa 1954. Stron 192.



Ważne, a mimo to mało poruszane przez naszych pisarzy zagadnienie, o którym z pewnością złożyły się na problematykę opowiadań Woźnickiej. W centrum zainteresowania autorki „Ocalenie” znajduje się bowiem młodzież, jej sprawy i przemiany w środowisku chłopskim i robotniczym. Punkt przecięcia problematyki wszystkich opowiadań zamieszczonych w tomiku nie jest łatwy do umiejscowienia — wydaje mi się jednak, że jest nim wy-

rażna lub ukryta paralela między Polską przedwojenną i obecną.

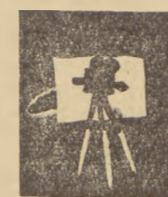
Woźnicka nieustannie naprowadza czytelnika na myśl o latach przedwojennych, mówiąc mu jednocześnie o obecnym rozwiązywaniu kwestii dziełcy-inwalidów, szkoły na wsi, młodzieży opóźnionej w rozwoju umysłowym. Autorka „Ocalenia” nie rozkłada przy tym akcentów i kolorów techniką czarno-białą: czarne i białe — to, co było przed wojną, białe i dobre — to, co jest teraz. Woźnicka jest wrażliwą niezadowolona z terażniejszości, ale nie jest to postawa wiecznego malkontenta: problematyka wielu opowiadań tomiku ma jak gdyby zadanie pobudzić czytelnika do rozwiązywania na własną rękę postawionego zagadnienia. Taki charakter ma przede wszystkim mocne opowiadanie „Pracow” ujawniające niespopularyzowany dotąd a jakże aktualny aspekt zagadnienia alkoholizmu: prawne usankcjonowanie jego ścigania i leczenia.

Też żywa aktualność opowiadań Woźnickiej można po części wytłumaczyć reporterskimi doświadczeniami autorki tomiku. Wytłumaczyć, nie oznacza tu jednak — w całości pochwalic i usprawiedliwić. Bruździ tu znowu literacka obróbka materiału czyniąca z opowiadania coś w rodzaju zbeletyzowanego reportażu. I tutaj muszę dać upust swemu zadawanemu żalowi do debiutantów i młodych pisarzy — prozaików: dlaczego — tak często nieopatrznie biorąc sobie opowiadanie jako formę literacką dla swoich doświadczeń twórczych, a — bądźmy szczerzy — przeważnie dla (czasem nieśmiały, czasem tak pewnych, że aż bezcelny) prób i grunto- wany teren? Nieuzasadnione ambicje wywołują nieradko porzucenie do- wrego reportażu dla kiepskiego opowiadania, czyli przysłówowe „danie byka za indyka”. Paweł Jasie- nica protestował niedawno przeciw lekceważeniu reportażu jako gatunku literackiego przez pisarzy i krytyków — ja ze swej strony nie godzę się również gorąco na nieuda- ne krzyżówki reportażu z opowiadaniem, obecne niestety również w tomiku Woźnickiej (np. utwór o symbolicznym tytule „Zamiast reportażu”). Sprawa jest groźna: na takie krzyżówki napotykałem z regu- ły w debiutach młodych prozaików, co dowodził epidemicznością zjawiska.

Nie chciałbym przez taką dygres- ję polemiczną krzywdzić bezpośrednio jej powodu: książki Woźnickiej. W książce tej znajdują się bo-

wiem utwory, które niewątpliwie na miano opowiadań zastępują (np. „Historia baby-koźlarki”). Idzie jednak przeciw to, aby w przyszłości autorka „Ocalenia” stała się autorką dobrych i odrębnych (w sensie dalekim od kiepskich krzy- żówek) opowiadań i reportaży.

Zbigniew Pędziński



Na naradzie krytyki filmowej pojawiła się wiadomość, że „Kariera” jest filmem zdecydowanie słabym. Scenariusz (wydany przez PAW pt. „Żelazna kurtyna”) nie obeywał wiele. Ze względu na szkodliwość obrazów — film jest właściwie histo- rią kilku spotkań z odrębnymi, nieznającymi się nawzajem ludźmi — i niewielkie podbudowanie psy- chologiczne postaci mógł być od- czytany w różny sposób. Trafił na czytelnika, który umiał niedopowie- dzienia słowa drukowanego dopeł- nian obrazem.

Zaczynam od spraw warsztatu, bo w tym reżysera wydaje mi się, w tym filmie niezaprzeczalny. „Ka- riera” trudno zaliczyć do tzw. film- mów sensacyjnych, które cechuje duże napięcie, żywa akcja itp. Nie to chyba było myślą przewodnią autorów scenariusza, który jest dość spokojnie płynącą opowieścią o dziejach dywersanta w Polsce — raczej reportażem filmowym niż bezbłędnie skomponowanym drama- tem, w którym narastający roz- wój wydarzeń buduje konflikt.

Zaciekawienie widza akcją w po- waznym stopniu spowodowane jest umiejętnym użyciem przez reżysera filmowych środków wyrazu. Koe- cher stwarza atmosferę posługując się pełną napięcia ciszą, zbliżeniem, montażem. Nie dwukrotnie skon- trastowanie akcji dywersanta z działaniem władz bezpieczeństwa lecz środki warsztatowe decydują o napięciu.

Ale nie tylko o napięciu. Koe- cher stwarza atmosferę, która u- plastycznia pokazane środowiska. Podkreśla elementy zaledwie na-



W żadnym boddze z pism literackich nie poruszono dotychczas tak ciekawego zagadnienia — estradowych form popularyzowania poezji. Bez echa przeszła cenna in-

icjatywa zespołu artystów teatru „A- teneum”, którzy utworzyli w roku ubiegłym tzw. „Estradę Poetycką”. Dotychczasowa praca „Estrady” jest dosyć przypadkowa, nieregularna. Ze- spół wystąpił z jednym (nie licząc inauguracyjnego wieczoru 20 poe- tow) zaledwie programem, zesta- wiał i pisał oba koncerty równocześnie. Ciekawe, że te dwa utwory powstały w tym samym czasie, posiadają zupełnie różny cha- rakter. Koncert, na obie ręce jest liryczny i miękki, koncert na lewą rękę bardziej heroiczny i mocny. W obu jest wspaniały popis ravelowskiej instrumentacji.

My wszyscy, którym leży na sercu dobro poezji, a którzy mamy możliwości jej pomóc, a więc: litemi, publiczności, dziennikarze, działacze kulturalni, winniśmy przy- czynić się do rozwoju estrady poe- tycznej, oraz do powstania, wyro- bienia z niej — TEATRU POEZJI.

Postulaty zachowajmy jednak na koniec. A na razie zajmijmy się pojawiającym się od czasu do czasu na scenie „Ateneum”, „wieczo- rem” względnie „porankiem” poezji K. I. Galczyńskiego.

Zastrzeżmy się od razu: to nie będzie recenzja — jedynie kilka krytycznych słów pozwalających zo- rientować się w możliwościach zes- polu.

1) PROGRAM. Niestety, powiedź- my sobie szczerze: nie jest on zbyt szczęśliwie zestawiony. Z przyjem- nością słuchamy: „Przed zapale- niem choinki”, „Pieśni”, „Zacaro- waną dorózkę” i kilka innych rze- czy. Całość sprawia nam jednak pewne rozczarowanie. Za mało słysz- my najlepszej liryki Galczyńskiego. Przydałaby się „Niobe”, przydałaby się „Kronika ol- sztyńska”. A gdzie liryki przedwo- jenne, piękne erotyki? Czemu sięgnięto tylko do twórczości ostat- nich lat?

Rozczarowuje umieszczenie w programie jednej tylko pozycji teat- rzyku „Zielona Geś”. Spodziewa- liśmy się o wiele więcej. Oczekuje- my z ciekawością — zapowiadane- go, nowego montażu poezji popu- larnego „mistrza Idefonsa”.

2) „OPRAWA SCENICZNA”. Kur- tyka z zawieszonymi na niej gwiazdkami, księżycami, świecidel- kami, brzękadłami mieniącymi się w zmieniającym świetle reflektorów. Dobry, wprowadzający w atmosferę „galczyńszczyzny” pomysł mógł- by być jednak jeszcze ciekawiej o- pracowany. „Estrada” powinna sta- rać się o większą ilość oryginal- nych rekwizytów scenicznych. Mogą one odegrać dużą rolę, pomóc w przyswajaniu przez słuchacza pa-

ających się sceny poetyckiego tra- kuziem. Oczujcie się nie tak nar- tnejnego i „zrutynizowanego” jak- to się dzieje w audycjach „Polskie- go Radia”. Projekt: fortepian i Chopinem, dobra praca z Bachem, Paganinim...

3) WYKONANIE. Siedmioposo- buy zespół nie jest wyrównany (to dobrze zresztą, ale wtedy — gdy poziom najstarszego jest poziomem — dobrym). Niektóre interpretacje wierszy będą zastrzeżeniem. Sądzę, że najlepiej są recytowane te u- twory, które są bliskie danemu wy- konawcy (spośród zespołu zdecydo- wanie wybija się T. Siemion). Mo- żna postawić tezę, że w teatrze poe- zji sposób wykonania uzależniony jest od tego, czy recytator przeży- wa wiersz, czy sam jest wrażliwy na poezję. Rytyny sceniczna tu nie- wiele pomoże.

POSTULATY: Teraz, kiedy opu- szczają ciemne kąty kulące się w nich dotychczas „kopciuszki” naszej sztuki, terroryzowane do niedau- na przez srogie, upraszczające, wul- garyzujące wszystko „macochy”, kiedy słowa „miłość”, „gwiazdy”, „noc” nie budzą już zgorszenia i co- gorsza... podejrzenia — powin- zabrac głos, wywalczyc sobie od- powiednie miejsce w naszym życiu — teatr poezji. Poezja, której stopień oddziaływania na serca i umy- śły ludzkie jest wprost niewymierny, poezja, która bywa głosem su- niemia i mądrością życia, powinna wychodzić na przeciw nowemu od- biorcy. Mamo kto sięgnie po ukryte na półce tomiki (na ladach księga- rni i na stoiskach ulicznych rzadko- ki je widzimy!). O wiele więcej na- tomiast przyciągnij do teatru poe- zji — pomysłowy afisz reklamowy czy prosta ciekawość, pragnienie atrakcji, egzotyki.

Jeden z naszych wielkich poetów — Wyspiański marzył o „teatrze ogromnym”. Takim teatrem powin- mieć ambicję — stać się — teatr poezji. Poezji, która poszerzy go o nowe, nieznane wymiary, uczyni „ogromnym” ślą poetyckiej wizji.

Stop — pegazie! Zagalopowałeś się jednak za... wysoko. To wszyst- ko jest kwestią... przyszłości (oby — najbliższej!) A na razie, konkret- nie: Należy bezwzględnie pomóc zespołowi warszawskiemu „Estrady Po- etycznej”. Wykorzystaj najlepsze chęci jego członków. Trzeba wy- szukać i zwerbować nowych arty- stów. Pomoc i moralnie... mate- rialnie. Aby „Estrada Poetycka” mogła zamienić sporadyczne swe występy na regularny (co niedzielny np.) repertuar, w skład którego wchodziłyby poranki (może i wie- czory?) poświęcone twórczości naj- lepszych poetów polskich i obcych. Aby z czasem Warszawa otrzymała prawdziwy, samodzielny — TE- ATR POEZJI. O to warto i trzeba się upominać!

Zbigniew Dolecki

„KARIERA”

wrzesień słuchacza. (Niezbędny szcze- śliwy jest również pomysł zdubbingo- wania Korskowskiego, którą wszy- scy znamy, obcym głosem Prolif- skiej — to brzmi zdecydowanie szlachetnie).

I z wreszcie — last but not least — sprawa aktorów. Film ma świet- ną obsadę, trudno mówić o wszyst- kich. Najciekawszym zjawiskiem był dla mnie Mularczyk w roli Ro- siaka — nowa to postać w naszym filmie. Koecher i Swiderski (w ro- li dywersanta) szczęśliwie zerwali ze schematem czarnego charak- teru — (jeszcze tylko ta cyklotówka pokutuje). W postać Karwowskiego graną przez Swiderskiego można u- wierzyć — a to już dużo.

Jak z tego wynika, wiadomość przytaczana na wstępie nie okazała się prawdziwa. Zapewne jednostko- wa opinia była rozpoznać i wypła- ty na premierę przyjęła wszystkie urzędy pocztowe o- raz listonosze. Za- kłady drukarskie i Wklepdrukowa RSW „Prasa” W-wa Marszałkowska 3/5

(Z. L.)

NA SCENIE WIĘKSZEJ NIŻ ŚWIAT

(Dokończenie ze str. 3)

go zostałam na zawsze przywiązana...

Lecz tutaj zaczynają się sprawy, które przerażają ludzi. Zresztą nie tylko jednostki, całe narody równie. Sprawa włączenia Ameryki w orbitę wpływów Europy i kultury chrześcijańskiej — przerosła i przyniosła zarówno Don Rodriga, jak i całą „arcykatolicką” monar- chnię hiszpańską, której był ramie- niem i orzechem. I on, i jego monar- chia, mimo zdobycia pozornych bo- gactw, stracił w tej walce siły, od- stąpili w niej o najelementar- niejszych zasad religii i moralności. Było to wielkie zwycięstwo i poraż- ka równocześnie. Claudel nie zamy- ka oczu na okrucieństwo tego pro- cesu historycznego. Odkrycia Krzy- sztofa Kolumba stały się wielkim przewrotem w dziejach ludzkości, otworzyły nową kartę historii świa- ta, ale kartę zbrzydłą krwią. Otwarcie nowych dróg geograficz- nych rozszerzyło niepomniernie ho- ryzonty myśli ludzkiej, popchnęło na nowe tory ekonomii i filozofie, wpływy Kościoła ogarnęły drugą półkulę — ale równocześnie wy- mordowały wielki naród Indian, wprowadzono niewolnictwo, zniszc- zono wspaniałą kulturę Azteków. To są właśnie „krzywe linie histo- rii”, przystosowywanie się wielkie-

go przewrotu dziejowego do małe- go, ludzkiego wymiaru. Lecz dzieło zostało dokonane. Wielka Armada tonie na znak, że skończyła się hi- storyczna rola Hiszpanii. Wypeln- iła swe zadanie, chociaż za nazbyt wysoką cenę moralną. W „Księdze Krzysztofa Kolumba” o to Trybu- nal wyłącza proces wielkiemu Od- krywcy:

Oskarżyciel: Widzę ludzi sprzedawanych jak bydło. Widzę Af- rykę, która nadąsała do Nowego Świata ładunki z ludzkim towarem. Krzysztof Kolumb: Nie tylko No- wy Świat, ale również Afrykę uc- czynił przydatną dla ludzkości. Oskarżyciel: Czy przydatna przez swoje cierpienie? Pytanie to, pełne grozy, zawiso- nad kartami tego dramatu. I dia- tego w swej ostatniej mowie przed królem Hiszpanii, zgnany życiem władcy Ameryki, pogromca Ind, Don Rodrig — prosi o pokój dla całego świata, aby polityka katolic- kiego mocarstwa poczęła na lądo- dzeniu sporów, na zabliźnianiu ran, na zdejmowaniu okowów, na pro- stawianiu „krzywych linii”...

Zamykam książkę i widzę syl- wetkę pochylonego starca, bogate- go w gorzkie doświadczenia swoje- go życia. Zapominam wtedy, ile ra- zy sam Claudel przeciwstawiał się późnej mądrości swego bohatera.

Konrad Eberhardt

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwarta- lna 12 zł. Adres Redakcji i Admini- stracji: Mokotowska 43; tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wypła- ty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe o- raz listonosze. Zak-łady Drukarskie i Wklepdrukowa RSW „Prasa” W-wa Marszałkowska 3/5

PAPIER, BETON I MY

SLOWO „rasadowosc” zrobiło karierę. Stało się jednym z najczęściej używanych w dyskusjach. Do dobrego tonu niemal i etykiety należało rozpoczynać swój głos od zarzutów dotyczących „organizacji bryli” i „wystroju plastycznego”. Ale popatrzywszy na aktualne wielkie batalie prasowe. O co najczęściej toczą się boje w „Przeglądzie Kulturalnym”? O elewacje. O co chodziło w ankiecie „Życia Warszawy”? O ścianę wschodnią. Jaki jest więc „wystroj” dyskusji? „Fasadowy”? I w popelnieniu identyczny błąd — mogłoby sparować uderzenie architektki zwracając się do dyskusyjantów i organizatorów dyskusji — sami też skupiając swoją uwagę na frontonach, nie podejmując innych tematów.

Może więc warto zwrócić uwagę na całkowitem opanowaniem placu przez dyskusję o elewacjach i poświęcić więcej uwagi sprawom, które dotychczas przemikały się bokiem: np. rozwiązaniom architektonicznym wewnątrz, w których właśnie (a nie na ulicach podziwianych frontonów) normalni mieszkańcy miasta spędza większość swego życia.

Temat to chyba szczególnie wrażliwy. Nie tylko bowiem niezmiernie aktualny ale i najłatwiej chyba zabrać głos w tej sprawie. Każdy ma gotowe postulaty, a jednocześnie wielu na podstawie bolesnego doświadczenia zebrało bogaty materiał krytyczny i ciska gromy na projektantów: takie proste i... Czy więc bezmyślność architektki?

Wcale nie takie proste. Zaczynamy od pewnych „prawd”. Putnam pisał w jednym ze swych felietonów, że dziś nie mogłoby powstać pałacyk w Łazienkach, bo używanie zastosowanego tam rozwiązania dachu (balustrada) jest zakazane jako zbyt trudne technicznie (?). Podobnych „prawd budownictwa” i „pewników” jest więcej. Atakowano architektów za nudne, monotone rozwiązanie w elewacjach „otworów okiennych”, projektowanie niewygodnych okien, brak lukczków itp. Architekt wcale ich nie projektował! Nie miał wyboru. W całym naszym budownictwie mieszkaniowym istnieje jeden „typ okna! Jak więc urozmaicić elewację i dogodzić mieszkańcom? Podobnie znormalizowane są drzwi, których jest tylko trzy typy (z tym, że ze względu na oszczędność drzewa forsowane są drzwi z wkładką szklaną, nieznoszące idealnie przepuszczającą dźwięki, w domach ZOR wprawia się do drzwi tylko cztery różne zamki itp. Architekt przysięgający do budowy domu mieszkalnego obwarowany jest sześcioma zasadniczymi normatywnymi określającymi np. stosunek powierzchni mieszkalnej do użytkowej itp. itp. A gdy przebrnie przez wszystkie przepisy, napotyka na łańcuszek różnych komisji, które orzekają, poprawiają — no i oczywiście zmieniają, skreślając np. dla oszczędności pomieszczenie na parterze na wózki dziecinne. Architekt projektujący osiedle na wyburzonym terenie jest jeszcze dodatkowo skrupowany koniecznością wykorzystania starej kanalizacji, wodociągów itp. co znów w znacznym stopniu przesądza ustawienie domów, bieg ulicy itp.

Trudności sięgają zresztą głębiej, poza projekt i przepisy, w dziedzinę spraw technicznych i wykonawstwa. Architektki skarżą się na zmianę planów już na miejscu budowy. Kursuje wśród nich anegdota o inżynierze, który na budowie nie mógł poznać swego projektu tak był zmieniony. Niedawno zetknąłem się na Żoliborzu ze stosunkowo „niezwykłym” wypadkiem: architektka zaprojektowała małe, stylowe osiedle kryte czerwona dachówką — ponieważ jednak nie dostarczono pełnej ilości czerwonej więc części dachów pokryto dachówką nieprzemijnie jaśniejącą. Domy tworzyły jeden układ kompozycyjny, dachy grzyły się na zabój, architektka ponosiła i szlag go trafił. Ale nie mógł porządku. Zaskakujące efekty potrafiły również wydobyc z osiedli ich gospodarze wprowadzając np. na MDM do izb pomyślanych jako pracownice plastyków „normalnych” mieszkańcó (którzy potem skarżą się na architekta umieszczającego okna na słońce) lub zmieniając po raz dziesiąty przeznaczenie lokalu umieszczając w nim np. zamiast księgarni restaurację — zjawia się oczywiście natychmiast problem wentylacji, przykrych zapachów i przerośków.

Wróćmy na budowę — do sprawy wykonawstwa: jeden z przykładów problemów pozorne „dobrych i niepoważnych” ale jakże istotnych dla mieszkańców. Oglądając np. dom, w którym architekt wszędzie zaprojektował szafy w ścianach, pawłace itp. W części mieszkań zostały one wykonane. W części na skutek pośpiesznej budowy omińto te „utrudnienia”, w części zaś, na skutek po prostu niedobalstwa (np. złego umieszczenia kontaktu elektrycznego), szafy musiały być wykonane tak płytkie, że niemożliwe było z nich normalnie korzystać. W tym samym domu rury instalacji wystawały na klatkę schodową itp.

Ta budowa była nawet wykonywana pod nadzorem projektanta. Ale cóż z tego? Architekt, niechętnie na ogół zresztą widziany na budowach, sprowadza się jakby do roli niepozornego strażnika działości — nie ma bowiem (i to jest istotny problem!) prawie żadnej egzekutywy.

„Gdybym pracował normalnie, to by wszystko było w porządku” —

ZBIGNIEW LASKOWSKI

twierdził kierownik budowy. „Ale nie miałem ludzi na czas, teraz musiałem gonić. Muszę wykonać plan”.

Mieszkaniec jest poszkodowany (wiemy co znaczy szafa w ścianie w nowoczesnym małym mieszkaniu). Kto winien? Nie architekt, nie budowniczy. Kto?

Jeszcze w styczniu br. ZOR nie otrzymał z PKPG niektórych danych do planu na rok bieżący. PKPG zatwierdza kompleksowo każdy budynek na każdym osiedlu, ministerstwo musi zatwierdzić przeznaczenie każdego lokalu usługowego, a jeśli z jakiegoś powodu trzeba przenieść pracę z jednego osiedla na drugie, tu wybudować mniej ale tam odpowiednio więcej, to na to potrzebna jest decyzja Prezydium Rządu. Przesadna centralizacja i źle pojęta szczegółowość planowania utrudniają prace budowlane i ich organizację. Tak to — między innymi — sprawa projektu architektonicznego i sztuki łączy się z techniką i życiem gospodarczym. Aby architekt miał swoje dachówki, a lokator szafę w ścianie — trzeba przeanalizować i ewentualnie zmienić podstawowe zasady organizacji budownictwa.

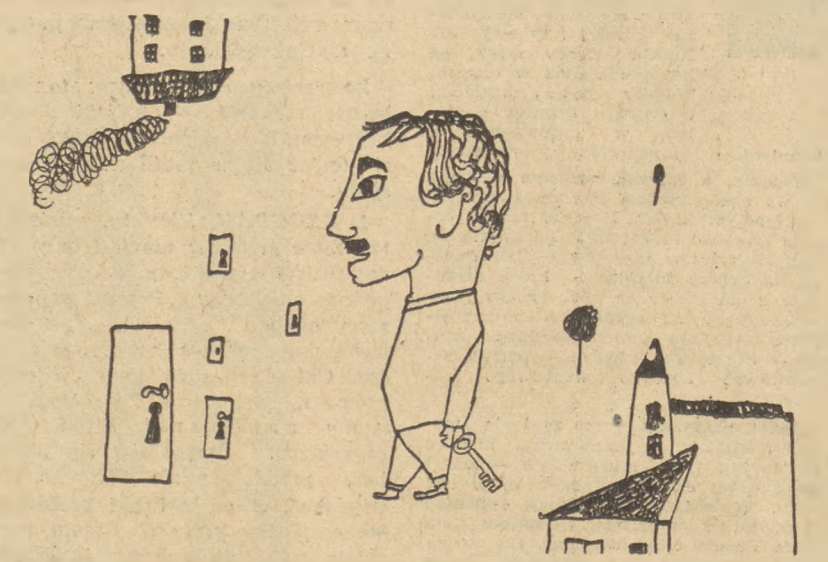
Co nie przesądza oczywiście, że pamiętając o złożoności problemu i nie obarczając architekta odpowiedzialnością za przyszłową urwanyjącą się kłamkę u drzwi powinniśmy podjąć dyskusję o mieszkaniach.

nierozwiązanych problemów, mamy tylko dwa technika budownictwa wiejskiego, teren woła o dobre projekty zabudowań spółdzielczych, rozwiązania urbanistyki wiejskiej — o projekty, które wykazują znajomość rzeczy! Trudno — żeby projektować obór trzédża znać się „małe co nieco” na krowach, pogadać z weterynarzem, z chłopem, nie wystraszając wykształcenie architektoniczne.

Trzeba silnie związać architekturę ze społeczeństwem, jego potrzebami. Architektura to nie tylko sztuka.

*

Z architekturą to tak jak z filmem: scenariusza się nie widzi, a rozpoczyna dyskusję w momencie gdy film wszedł na ekrany. Od chwili jego ukończenia upłynęło sporo czasu, który po części odatkowane stadia produkcyjne: sporządzanie kopii itp. Realizatorzy dawno o swoim dziele zapomnieli, żyją już czym innym, zajmują się inną problematyką, już inaczej rozwiązują zagadnienia — aż tu nagle każą im uwspółcześniać błąd w ich pojęciu dawno przeanalizowane, przemysłowe i przemysłowe. Dyskusje architektoniczne przeprowadzane wśród mieszkańców, którzy widzą wybudowane ulice a nie plany, są spóźnione o 2-3 lata. (Samo zatwierdzanie przecież trwa nieraz



Wprowadzone w ubiegłym roku nowe normatywy idą w kierunku uproszczenia budowy małych mieszkań. Czy jest to słuszne, czy np. zamiast jednego pokoju o powierzchni 18-22 m. kw. w jednopokojowym mieszkaniu z kuchnią nie lepsze są dwa małe — co woli młode małżeństwo z dzieckiem? Jak ma być rozkład mieszkania? Jakiego koloru ściany? Wylaniają się również problemy urzędzenia wnętrza — jakie produkować meble do takich mieszkań?

Normatywy urbanistyczne określające w osiedlach stosunek ilości urządzeń usługowych do ilości mieszkańców uważane są za przestarzałe i niewystarczające. Może należałoby podjąć również sprawę poprawki normatywnych mieszkaniowych? To są problemy, o których najłatwiej mogłyby wypowiedzieć się przeciętni mieszkańcy a jednocześnie są to trudności i opory, które samym architektom trudno jest przeczłapać. Zaplecze w postaci głosu opinii mogłoby być decydującym czynnikiem i istotną pomocą.

Dalej: nie pamiętamy o tym, że mieszkanie wychowuje człowieka. Niesmiółłość i rzadkość tego rodzaju głosów tym silniej podkreśla brak zainteresowania tym zagadnieniem i jego opracowania. Jak rozwiązać zagadnienie kształtowania smaku estetycznego lokatorów na codzień poprzez ładne mieszkanie? Dlaczego nie tworzymy dyskusji w klubach jako pełnoprawny doradcy zabierających głos lekarze i psycholodzy? Mogliby oni wiele dorzucić ze swej wiedzy do projektu inżyniera architekta — czasem mogłoby to być wskazówki decydujące. Dlaczego mieszkaniami zapełniono pełen gwaru i hałas MDM a nie zrobiono dzielnicy mieszkalnej na cichej Kruczej? Czy głos fachowca z Instytutu Higieny Psychicznej nie powinien być tu brany pod uwagę? Cały problem zresztą izolacji dźwiękowej i odpowiednich warunków odpoczynku w domu czeka jeszcze rozwiązanie.

Jest błędem architektów, że nie organizują pokazów projektów mieszkań, błędem prasy, że na swoich łamach nie podejmuje dyskusji w tym zakresie. Obok fotografii MDM, Centrum czy Zamku powinny być reproduktowane i rysunki mieszkań. Obok dyskusji o „bryle Zamku i Starożytności” powinniśmy również dyskusjonować o organizacji życia na Starówce: o przedszkolach, świetlicach i kinach.

Zawołanie dyskusji architektonicznych idzie w wielu kierunkach. Ile głosów w dyskusjach „Przeglądu Kulturalnego” dotyczyło budynków i osiedli na „prowincji”? Mało mówimy o budownictwie w elementach typowych, budownictwie przemysłowym, budownictwie mieszkaniowym czy wiejskim. Na wsi mieszka 3 mln rodzin, mamy na niej miliard metrów sześciennych budynków — i odpowiednio wielkie jest zapotrzebowanie na nowe domy i zabudowania gospodarcze. Brak jest specjalistów, podreczników, wydawnictw fachowych, dwumiesięcznik „Budownictwo wiejskie” w nakładzie 2,5 tys. egz. jest igłą w stogu

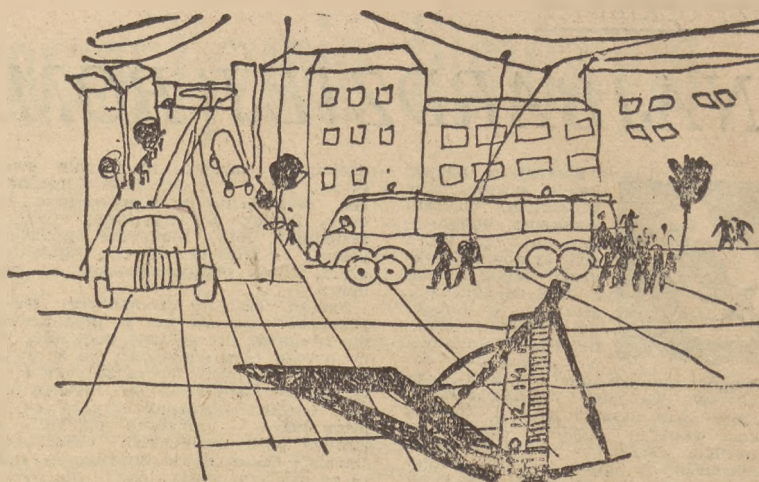
obszaru Warszawy, rozwiązania, które w konsekwencji nadawało charakter całemu miastu, decydowało o jego sylwetce i dalszej rozbudowie. Projekty te decydowały o kształcie stolicy państwa!

Pokaz w salach Teatru Narodowego w praktyce mogła obejrzeć jedynie niewielka grupa zainteresowanych zamieszkałych w Warszawie. Trwał on kilkanaście dni. Już sam tylko okres wystawienia ekspozycji do wglądu dla mieszkańców kraju wskazuje na paradoksalność tego typu imprez. Tu potrzebna była szersza dyskusja.

Przypomnijmy sobie jak nikłe ogłoszy przedostały się na łamy prasy, jak mało dowiedzieli się ten, kto nie odwiedził oficjalnie sali. Stenogramy z dyskusji, jakie zorganizowała prasa warszawska ugrzęzły w tektkach. Dowodzi to albo nieudolności prasy, która nie umiała wykręścić i rozwinąć tak istotnego tematu albo... albo właśnie quasi konspiracyjnego charakteru pokazów. Tak też było. Charakterystyczne: Naczelny Architekt Warszawy na moją prośbę o fotografie makiet do rozpowszechnienia w prasie odmówił stwierdzając, że projekty nie są ostateczne i (uwaga!) nie są zaprobowane przez najwyższe czynniki. Rzecz nie była więc do dyskusji dla profanów. Pokaz był tylko próbna racja wystawiona w czterech ścianach. Jednorazową egzotykiem wyjechała laika, którym wyjątkowo pozwolono zwiedzić Kuznię Idei Specjalnych.

A potem zapadło milczenie.

Milczoności nie został jeszcze obalony całkowicie. Liczne głosy w dyskusjach podniosły sprawę komunikacji. Warszawiacy — i słusznie chyba — obawiają się (sądzę chociażby z przykładu MDM), że projektowane arterie komunikacyjne, wystarczające przy obecnym ruchu, nie będą wystarczały już w najbliższej przyszłości, że nie uwzględniają możliwości rozwojowych transportu, zwiększającej się ilości samochodów, zapełnienia ulic przez tramwaje, autobusy i trólebusy na które wobec rozrostu się stolicy, spadnie wielki ciężar przetrwania tłumów podróżnych z dzielnic mieszkalnych do pracy (co przecież — to też jest poważny problem — nie rozwiązano jeszcze sprawy zamieszkiwania pracownika stosunkowo jak najbliższe miejsca pracy). Architekci zapewniają o przeprowadzanych poważnych studiach w tym zakresie. Ale dyskusja toczy się w próżni. Chcieć omówić konkretny problem komunikacji to znaczy przedstawić warszawiakom, ogłoszone w prasie i pokazac ogólny plan zabudowy miasta, projekty urbanistyczne. A tego rodzaju plany są „tajne”. Inżynier, który by pokazał laikowi projekt rozwiązania urbanistycznego Warszawy za lat kilka, czy nawet plany aktualnych rozwiązań już realizowanych musiałby to zrobić nieoficjalnie prosząc o dyskrecję. Ba! Praktycznie niemożliwe



rys. Gabriel Rechowiec

jest pokazanie nawet jak socjalistyczna architektura rozwiązuje zagadnienia urbanistyczne w porównaniu z okresem kapitalistycznym — nie tylko bowiem plan obecnej Warszawy (który zgadza się w ogólnych zarysach z planem ulic po prostu kupionym przez mnie w kiosku Ruchu) ale również plan Warszawy z okresu... zniszczonej powojennych z roku 1945 i nawet plan zabudowy Warszawy z roku 1939(!) należą do materiałów „tajnych”. Absurd? Ale tak jest.

Dość, gdy po roku milczenia wraca się do zagadnienia Centrum Warszawy i na światło dzienne wypłynęły jako zaaprobowane do dalszego opracowania dwa projekty ściany wschodniej, znów ujawniło się niedocenianie publicznych dyskusji — nie przez niefachowe „Życie Warszawy”, którego bezsporną zasługą jest podjęcie tematu — ale przez ludzi odpowiedzialnych za architekturę. Czy dyskusja, a raczej jej organizację można nazwać poważną jeśli toczyła się ona na podstawie tylko kilku mało czytelnich fotografii w prasie, bez makiet, bez ukazania proporcji, bez plastycznego przedstawienia całego zespołu architektonicznego? Czy dyskusant mógł mając taki materiał rzetelnie odpowiedzieć na ankietę i czy nie dałaby ona więcej, gdyby była inaczej przygotowana?

Dyskusja o ścianie wschodniej (zauważmy, że znów dotyczyła ona tylko elewacji, nie mówiąc o samych budynkach i pomieszczeniach w nich) w oderwaniu od całego kompleksu zabudowy już w założeniu zawisała w powietrzu. Ściana o długości 650 metrów to nie detal plastyczny, który można osądzać na podstawie rysunek. Trzeba jasno zdawać sobie sprawę z jej walorów przestrzennych, jej znaczenia dla całego olbrzymiego Placu. Warszawa na pewno chce być ładna, ale — pytajcie warszawiaki — nawet krawcowa nie podejmie dyskusji na temat tylko materiału bez ustalenia charakteru całej toalety.

Dyskusja — jak i poprzednia — była ograniczona w czasie do dwóch tygodni. Czy te ograniczenia wpływają z braku zainteresowania mieszkańców?

Dwieście odpowiedzi napłynęło do redakcji „Życia Warszawy” (a nie każdy przecież lubi pisać listy). Da-

lej; ogłoszono wyniki konkursu na Zamek i część Starożytności. Pokaz miał trwać aż... 4 dni! Trzeba było dopiero presji zwiedzających (w czasie tych 4 dni zwiedziło go 8 tys. osób — dla porównania: Muzeum Narodowe w lutym zwiedziło 13 tys. osób), by go przedłużono do tygodnia. Trzeba było nabić salę na jedyną zaplanowaną dyskusję, by zaprojektowano następne. „Gdyby Stanczyk dzisiaj żył to przekonałby się, że najwięcej jest w Warszawie nie lekarzy lecz architektów” — lapidarnie określiła sytuację jedna z dyskusyjantek.

To zainteresowanie jest kapitałem, którego nie można zmarnować. Ale chodzi również nie tylko o emocjonalny stosunek świadczący o przywiązaniu do miasta i uważaniu jego spraw za swoje. Ci ludzie nie tylko chcą, ale i mają prawo domagać się głosu. To oni będą żyć w tym mieście, w tych fabrykach pracować i w tych domach mieszkać.

Na projekty pomników kultury, jakim będzie odbudowany Zamek i Starówka, jakim ma być kompleks śródmieścia, na projekty tak ważne, jak np. projekty typowych osiedli i mieszkań powinno się znaleźć miejsce w jednej z reprezentacyjnych sal wystawowych Warszawy (podobnie i w innych miastach). Krótkotrwałe pokazy należałoby zamienić na stałą wystawę, wokół której toczyć by się mogła bogata w formy, nieustająca dyskusja, do której wciągano by należało nie tylko fachowców z wąskiego kręgu: architektów, inżynierów i plastyków ale i ludzi innych zawodów: naukowców, lekarzy, socjologów — wszystkich tych, którzy powinni być pytani o radę wszędzie tam, gdzie chodzi o życie społeczne.

Nie można spraw architektury i dyskusji o niej zacieśniać do zagadnienia rozwiązań plastycznych czy plastyczne — urbanistycznych. Trzeba ją silnie związać z życiem społeczeństwa i jego potrzebami, tworzyć jej zaplecze opinii społecznej, a twórców dać warsztat i stworzyć warunki pracy, w jakich mogliby ponosić całkowitą odpowiedzialność za swoje dzieło.

Zbigniew Laskowski

* Patrz w poprzednim numerze: „Paradoksy architektoniczne”.

Z profesorem Tutką zetknąłem się po raz pierwszy podczas jego wykładu w wyższej szkole handlowej. Było to rok temu, nie pomnę dokładnie, w „Przekroju”. Mówił wtedy na temat pojęcia wartości. Przyrównywałem w myśli wykładów do innych profesorskich postaci: znałem pewnie grono z własnych szczyplych doświadczeń uniwersyteckich. No, poza tym zaskoczył z anteny PR w wyobraźnię prof. Peduszko, rozjaśnił się usmiechem w siwej brodzie Lengrenowski prof. Filutek z przekrojowych „RO(zmańskich)”. I niezapomniany Bącznyński... Byli jeszcze inni: ten, co to gotował przez trzy minuty zegarek, czas śledząc z jakim w ręce; albo ten... taka znana anegdota: — Burliwiy wieczór zastał go u przyjaciół. Po usilnych namowach zdecydował się zanocować. Gospodarze przygotowawszy w sąsiednim pokoju posłanie nie zastał gościa. Wrócił po chwili zmoczony deszczem „do niki”. Biegł do domu po piżamę, bo zbyt się do niej przyzwyczaił, by w czym innym mógł zasnąć.

Prof. Tutka nie przystawał do żadnej z profesorskich postaci. Był inaczej liryczny, żartobliwy czy groteskowy niż profesorowie: Peduszko, Filutek i Bącznyński. Wydawało się już wtedy, że gdyby nawet gotował zegarek, patrząc na jajo, nie robiłby tego przez roztrągnięcie. Należałoby się solidnie zastanowić, czy jako rzeczywistość stanowi instrument całkowicie nieprzydatny do mierzenia czasu, że może istnieć tylko wśród nas takie ugruntowane przez wieki myślnie przekonanie na ten temat. No bo skoro prof. Tutka mierzy czas jajkiem... Słowem: coś w tym tkwi — jakiś problem. Prof. Tutka bowiem zwykł największe problemy odkrywać w rzeczach blahych: w meloniku, popielniczkach, ptyśkach albo zeszczeronym śniegu.

*

Kto nie miał szczęścia znaleźć się przy czarnej kawie w gronie przyjaciół prof. Tutki i wysłuchać wszystkich jego okolicznościowych opowiadań, powinien zapoznać się z wydany przez Wydawnictwo Literackie zbiórki. Książka Szaniawskiego stanowi wyglądną deser w złożytnym przeżądzie z dwu zasadniczych dań poważnego menu bieżącej literatury.

Desery, jak wiadomo, są również

daniami pożywными, nadto zaś odznaczają się dowcipnym smakiem. Tak by się chciało właśnie przy pomocy owej gastronomicznej metafory ułokować książkę Szaniawskiego w stosie innych poważnych o człowieku wprost, a nie o człowieku (jak ta) przy okazji niepoważnych kóz w Pacanowie.

„Profesor Tutka” to książka dość odległa od tego, co pochłania dzisiejsza proza w zakresie tak tematki, jak i problematyki. Dużo tu dziwacznych zdarzeń, niedziennych ludzi, srebrnych okrętów. Motywacja — umowna: często odchodzą od logicznego łańcucha; przyczyna — skutek. Książka więc fantastyczna, której realizm tkwi w metaforycznym sensie, a nie w realnych podłoża samej metafory. Książka z dystansem do przedmiotu, którego jądro nie ulega metamorfozom w oczach czytelnika, lecz podane jest jako wykrystalizowany

JERZY KOŁATAJ ŻART W MELONIKU

produkt intelektualnego przemysłu na wykładzie prof. Tutki. Chciałoby się powiedzieć, że takich rzeczy nie piszą debiutanci. To jest rzecz jubilat... Zresztą może pomylka.

Zrobiłmy wstępną odskocznicy. Pierwsze opowiadanie: „Profesor Tutka wśród melonów”. Problem: który spośród instrumentów muzycznych jest najbardziej ekspresyjny, robi największe wrażenie na słuchaczach. Wahanie: jeden są za skrzypcami, inni mówią: wiolonczela. Zabiera głos prof. Tutka: Przygodna, ale doskonale pianista miał koncertować na okęcie. Niestety nastąpiła burza, okręt począł się kołysać, fortepian jeździć po sali, ścisnąc swoim przynajmniej ciężarem przerażonych słuchaczy-podróżników. Niewesoło.

Prof. Tutka tak konczy: — „Prose państwa nie skrzypce, nie wiolonczela — ale fortepian, właśnie fortepian zrobił na mnie najpotężniejsze wrażenie w całym życiu — tego dnia, gdy szalała burza na mo-

ru, a ten na wpół Grek, na wpół Rumun, pianista... wprost fenomenalny zasiadł do fortepianu i — fortepian odjechał!”.

Pointa, jak nie trudno odkryć, żartobliwa, takiż ogólny zamiar: zdarzenie wyszukane, przez to sens odwołany od linii pierwotnego zagadnienia, zwałszywany na inną plastycznie niż szacowanie przyrodzonej niejako ekspresyjności instrumentów. Żart. Wszystkie opowiadania tej części zbioru odznaczają się wymiennymi właśnie cechami. Cechami, które czynią z nich wspaniałe krochoczące facjeje o niezwykle interesującym, zawsze świeżym, niespodzianym i różnorodnym zapleczu intelektualnym.

Z czasem jednak (cz. II) zaczyna mimo pozornie tożsamości tonu dominować w opowiadaniach inny element. A może raczej elementy poprzednie przegrupowują się. Na czoło wysuwa się pierwiastek intelektualny, żart zaś zaczyna stanowić tylko towarzyszący pierwszemu re-

fleks. Myślę o reprezentatywnym dla tej części opowiadaniu pt. „Wykład profesora Tutki w wyższej szkole handlowej”. Historia dwu popielniczek. Jedna nieestetyczna, zdobiona obrączkami cygar, a związana w swych dziejach ze wspomnieniami o ukończonej dziewczynie. Druga srebrna, misternie wykonana, cenna — od kulturalnej i bardzo subtelnej pani.

Zagadnienie zewnętrzne: chęć spojrzenia na popielniczkę jako na przedmiot o konkretnej wartości materialnej. Zagadnienie wewnętrzne: wartość popielniczek od strony związanych z nimi uczuć, przeżyć, doświadczeń. W odległość więc — zagadnienie... ekonomiczne, stąd wykład w wyższej szkole handlowej i stąd ów towarzyszący intelektualnej zawartości subtelny refleks żartu.

Nie tu miejsce na teoretyczne podbudowanie roli żartu w utworach literackich. Z grubsza jednak rzecz biorąc można widzieć w nim pewien określnik stosunku autora

do przedmiotu. Żart więc stanowiłby ogniwo w łańcuchu stosunków pomiędzy autorem a rzeczywistością charakterystycznych się afirmacją teże rzeczywistości, podawaniem jej w wątpliwość, lub po prostu negowaniem.

W praktyce literackiej odchylenia do afirmacji mogą mieć różne stopnie natężenia i jakości: od żartu ze złożoności życia i nieporadności człowieka, poprzez ironię — owo płynące z niemości wyniesienie się ponad rzeczywistość, do goryczy i sarkazmu, które już tylko krok odwróci od całkowitej negacji.

Na wskroś lirycznie zintelektualizowane opowiadania prof. Tutki stopniowo przechodzą od niemaszobliwych żartów w kierunku wyższych określonych, chociaż nie osiągają jego najwyższych negatywnych stadiów.

Ironia Szaniawskiego nie ma nie wspólnego z ironią, która tak często jest oznaką zmniejszenia i odsunięcia się od życia. Ta ironia nosi w sobie pierwiastki zaangażowania, aktywności i jako taka zbliża się raczej do satyry.

Prof. Tutka w swej znakomitej części jest satyryczną napaścią na wszelkiego rodzaju szablony („Śnieg przeszloroczny”), banały („Prof. Tutka znał człowieka „głębokiego”), złudę („Złote myśli”). Atakuje z pozornie cynicznym usmiechem nawet uswieconę, a zbanalizowane prawdy, jak na przykład, że pieniądze nie dają szczęścia. Prof. Tutkę interesuje zegarmistrz i jego stosunek do człowieka na pomniku. Zegarmistrz wybrał sobie jako punkt ukeria skarbu cień głowy Jana Frydryka Lewetery. tej głowy, która nie kazala szukać szczęścia w pieniądzech. W notiesie zaś zapisał ironiczną informację: „Trzeciego lipca o godzinie szóstej minut dwadzieścia rano głowa Lewetery pod tują będzie miała myśl n a p r a w d e złotą”.

Odnosni się z sympatią do chytrego zegarmistrza, zaś nieduwodząco podać w wątpliwość powagę głowy człowieka stojącego na cokole może tylko ten, kto z wielkich prawd pielegnowanych przez ludzkość jako niematernalne ideały zdzierza dostojną pałyne banalnego fałsu. A żąda dla nich rzeczywistości pokręca i w procesie tym jest najkonkretniej zainteresowany.

Jerzy Kołataj

*) Jerzy Szaniawski: Profesor Tutka Wydawnictwo Literackie. Kraków 1954 s. 217